

2/2014

KALEJDOSKOP

SPIS TREŚCI



26



28



42

Wydarzenia	2	Chełmoński wśród Książaków		Na tropach kultury	
Wystawy	8	Monika Nowakowska	32	Krystian Paweła	50
Filmy	10	Co dalej?		No i mamy manifest!	
Książki	11	Halina Bernat, Jacek Lewkowski	35	Tomasz Cieślak	52
Kulki i armatka		Budowanie widowni		Nowa dzielnica Łodzi	
Piotr Grobliński	12	Bogdan Sobieszek	36	Aleksandra Seliga	54
Dwa te orły mamy		Kot, pies i ławeczka		Stół z okna	
Andrzej Poniedziałki	15	Piotr Grobliński	38	Katarzyna Tośta	56
Zamykam rozdział śnienia		Łódź story		Topory przejmują kontrolę	
Z Agnieszką Greinert rozmawia Rafał Gawin	16	Magdalena Sasin	40	Paweł Witczak	57
Oko za oko, list za list		Kreskówka		Między Tuwimem a Brzechwą	
Piotr Grobliński	21	Magdalena Sasin	42	Paweł Reising	58
Dobrego początku		W Sali Kontaktów Międzyludzkich			
Maria Sondej	22	Maciej Cholewiński	43		
Gitara – mały kosmos		Lekcja emocji			
Bogdan Sobieszek	24	Bogdan Sobieszek	44		
Spotkania i zderzenia		Organistów będzie wielu			
Aleksandra Talaga-Nowacka	26	Janusz Janyst	46		
Mój film jeszcze nie powstał		Love me gender		I str. okładki:	
Zbigniew Rybczyński	28	Michał Jagiełło	47	AGNIESZKA GREINERT,	
Portfolio Piotra Orzechowskiego	30	Iluz poetów!		łódzka piosenkarka i aktorka	
		Tomasz Cieślak	48	– wywiad na str. 16	
				Foto: KATARZYNA GRZELAKOWSKA	

Świętujemy

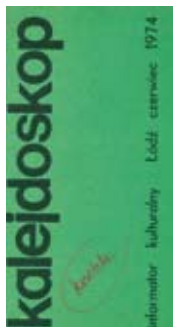
Życie zaczyna się po czterdziestce. Tak – „Kalejdoskop” kończy w 2014 roku 40 lat! Należymy do najstarszych czasopism w Łodzi i regionie, i w ogóle nas to nie martwi. Tym bardziej że jesteśmy obecnie jednym z niewielu pism „ogólnokulturalnych” w Polsce.

W ciągu czterech dekad bardzo się zmieniliśmy: przeobrażiliśmy się z małego czarno-białego informatora w kolorowy, nowoczesny magazyn. W dodatku istniejemy również w Internecie – portal Kalejdoskop Kulturalny Reymont powstał z połączenia „Kalejdoskopu” z witryną Reymont.pl nie tylko po to, by nadać za nowymi czasami, ale także za bieżącymi wydarzeniami (bo w miesięczniku o to niełatwo).

Ale dość chwaleń się – wolelibyśmy jednak, żeby to czytelnicy nas chwalili.

W ciągu całego 2014 roku zarówno w wersji drukowanej, jak i elektronicznej, będziemy zamieszczać artykuły o „Kalejdoskopie”, pisane przez ludzi związanych z pismem dawniej i dziś. Niekiedy wręcz i dawniej, i dziś – tak jak w przypadku autorki otwierającego cykl tekstu, Marii Sondej, która w „Kalejdoskopie” jest od pierwszego numeru. . .

Przy okazji 40-lecia nadal ewoluujemy, wchodząc coraz głębiej w region. Już w bieżącym wydaniu pojawia się więcej tekstów poświęconych ciekawym miejscom, ludziom i wydarzeniom z województwa. Mamy nadzieję, że nowa formuła Państwa zadowoli. . .



40 lat minęło jak jeden dzień... A w tym czasie przez „Kalejdoskop” przewinęło się sześćdziesięciu redaktorów naczelnych. Każdy zaproponował własną formułę, rozwinął pismo, starał się, żeby było ciekawie i inteligentnie. A przede wszystkim – kulturalnie. I tak powoli „Kalejdoskop” z informatora stawał się magazynem pełną gębą.

BOGUSŁAW SIKORSKI, naczelny od maja 1974 r. do lutego 1975 r.

Wciąż czynny dziennikarz, poeta. Pracował w radiu, Polskiej Agencji Prasowej, kierował zespołem „Kroniki Miasta Łodzi”. Jako poeta debiutował w 1963 r., jako publicysta – w latach 70. Pracę w „Kalejdoskopie” zaczynał więc jako młody człowiek z pewnym dorobkiem. Podkreśla, że pismo narodziło się dzięki inicjatywie łódzkich artystów.

JERZY KATARASIŃSKI, naczelny od marca 1975 r. do grudnia 1981 r. (kiedy na niemal pięć lat zamknięto pismo, a sam Katarasiński dostał zakaz pracy w mediach)

Dziennikarz, krytyk teatralny i aktor Teatru 77. Pełnił ważne funkcje m.in. w „Dzienniku Łódzkim” i „Odgłosach”. Zmarł w 1989 r. Od 1999 r. żona redaktora, Iwona Śledzińska-Katarasińska, przyznaje młodym łódzkim krytykom nagrodę jego imienia.

życie zaczyna się po 40-tce



ANDRZEJ IDON WOJCIECHOWSKI,
naczelný od października 1986 r.
do lipca 1989 r.

Jeden ze słynnych łódzkich „Melomanów”. Ale ma też inne talenty – napisał m.in. książki wspomnieniowe: „To był jazz” i „Narodziny gwiazdy Komedu”.



40 lat



ZBIGNIEW W. NOWAK, naczelný od
września 1989 r. do marca 1992 r.

Dziennikarz. Szefuje łódzkiemu czasopi-
smu „Tygiel Kultury” od samego począt-
ku jego istnienia, czyli od 1996 r.



TOMASZ BIESZCZAD, naczelný od kwietnia 1992 r. do października 1999 r.
(w tym czasie „Kalejdoskop” na równi z naczelnym współtworzył jego za-
stępca – **JANUSZ WIŚNIOCH**)

Aktor, animator kultury. Przez kilka lat rządził Akademickim Ośrodkiem Inicjatyw Arty-
stycznych. Współpracował m.in. z: Radiem Łódź, „Dziennikiem Łódzkim”, „Życiem”,
„Sceną”, „Expressem Ilustrowanym”.



MAŁGORZATA KARBOWIAK, naczelný
od listopada 1999 r. do stycz-
nia 2013 r.

Dziennikarka, krytyk filmowy i teatral-
ny. W zawodzie od 1968 r. Przez wie-
le lat związana z działem kultury „Głosu
Robotniczego”. Pisała m.in. do „Filmu”,
„Perspektyw”, „Sceny”, „Polityki”, „Od-
głosów”. Do dziś pisze dla „Kalejdosko-
pu” recenzje teatralne.



**Zespół redakcyjny: HALINA BERNAT, ALEKSANDRA TALAGA-NOWACKA, BOGDAN SOBIESZEK, PIOTR GROBLIŃSKI, DARIUSZ DREWNICZ (współ-
nie działamy od maja 2013 r.)**

Wszyscy jesteśmy dziennikarzami (niektórzy – także poetami czy muzyka-
mi amatorami), a razem tworzymy również portal Kalejdoskop Kulturalny Reymont
(e-kalejdoskop.pl), który powstał z połączenia z witryną Reymont.pl.

Miesiąc oglądania

Piętnasta edycja **Och! Film Festiwalu** – imprezy organizowanej przez DKF Bez Nazwy działający w Łowickim Ośrodku Kultury (ul. Podrzeczna 20) – rozpoczyna się **31 I**. Przez cały miesiąc przede wszystkim można będzie oglądać filmy – najnowsze kino ambitne i artystyczne. Pokazane zostaną m.in.: „Pod Mocnym Aniołem” Wojciecha Smarzowskiego i „Jack Strong” Władysława Pasikowskiego oraz „Powtórnie narodzony” Sergio Castellitto, „Nimfomanka” Larsa von Triera czy „Tylko kochankowie przeżyją” Jima Jarmuscha. Organizatorzy oprócz projekcji proponują także ciekawe koncerty i spektakle. Festiwal otworzy Justyna Chowaniak z kolegami – zaprezentują album „Domowe melodie”. Do końca lutego na scenie kina Fenix wystąpią także: Artur Andrus (9 II), Marek Dyjak (15 II), Dawid Podsiadło (23 II) i Waglewski Fisz Emade (28 II). W programie znalazł się monodram w wykonaniu Heleny Ganjalyan „Press To Reset The World” (16 II). Och! Film Festiwal ma również swoją sekcję offową Alter Och!, która odbywa się w klubie Pracownia. Miejsce to przeznaczono na prezentacje filmowe (np. horrorów czy spaghetti wester-
now) oraz tematyczne imprezy taneczne. *



Wszystko buczy

Galeria Atlas Sztuki (ul. Piotrkowska 116) otworzy **7 II** prezentację prac **Jarosława Kozłowskiego**, należącego do czołowych twórców sztuki konceptualnej. Na wystawie pt. „Dekompozycje” zobaczymy projekty: „Wszystko buczy oprócz tego, co bulgocze” oraz „Recycled News II”, odnoszące się do współczesnej rzeczywistości, w której jesteśmy poddawani nieustannej manipulacji ze strony mediów. Kozłowski, zaangażowany niegdyś w ruch artystyczny Fluxus, zakładający działanie na granicy między sztuką a codziennością oraz podważanie społecznych i kulturowych stereotypów przez żart, paradoks, prowokację, stosuje te zabiegi również w projektach pokazywanych w Atlasie Sztuki. *

się również w roli dyrygenta – poprowadzi wykonanie dwóch dzieł klasycznych. Usłyszymy uverture do opery *Uprowadzenie z Seraju* Wolfganga Amadeusza Mozarta oraz Symfonię D-dur nr 86 Józefa Haydna. *

Miłość po grobowiec

Po siedmiu latach od premiery „Aidy” Giuseppe Verdiego Teatr Wielki (pl. Dąbrowskiego) **8 i 11 II** wznawia tę operę skomponowaną w 1869 r. na

Mistrz zagra i poprowadzi

Współpracę z Filharmonią Łódzką rozpoczął **Ivan Monighetti**, wybitny wiolonczelista, ostatni uczeń rosyjskiego wirtuoza tego instrumentu, Mścisława Rostropowicza. Na jego drugi występ w ramach rezydencji filharmonia (ul. Narutowicza 20/22) zaprasza **7 II**. Artysta wykona Koncert wiolonczelowy Es-dur Dymitra Szostakowicza. Zaprezentuje



otwarcie Kanału Sueskiego. Akcja rozgrywa się w Egipcie, którego granice przekroczyły wojska etiopskie. Młody egipski dowódca z wzajemnością kocha niewolnicę (córkę etiopskiego króla), a jego z kolei kocha córka faraona. To nie może się dobrze skończyć – zwłaszcza że dochodzi jeszcze do zdrady tajemnicy wojskowej.

Kierownictwo muzyczne – **Tadeusz Kozłowski**, inscenizacja i reżyseria – **Marek Weiss-Grzesiński**, dekoracje i światła – **Paweł Dobrzycki**, kostiumy – **Maria Balcerek**, choreografia – **Izadora Weiss**, kierownictwo chóru – **Waldemar Sutryk**. *

Przyjaciel wilk

Teatr Pinokio (ul. Kopernika 16) zaplanował na **1 II** premierę spektaklu pt. „**Księga dżungli**” wg książki Rudyarda Kiplinga. To historia o poszukiwaniu tożsamości i swojego miejsca na ziemi. Opowiada o problemie przynależności do grupy, o braku akceptacji w społeczności, o konieczności przestrzegania praw dżungli, a także o konsekwencjach ich łamania. Głównym bohaterem jest Mowgli – chłopiec, który został przed laty porwany z wioski przez tygrysa i wychował się wśród wilków. Reżyser, oprócz gry w żywym planie, wykorzystał w przedstawieniu elementy teatru cieni oraz teatru lalek.

Adaptacja – **Magda Żarnecka**, reżyseria – **Przemysław Jaszczak**, scenografia – **Zofia Lubińska**, teksty piosenek – **Malina Prześluga**, muzyka – **Tomasz Krzyżanowski**, ruch sceniczny – **Piotr Soroka**. *

Dancing na Łąkowej

W Klubie Wytwórnia (ul. Łąkowa 29) **7 II** wystąpi **Maciej Maleńczuk**. W programie koncertu nie tylko utwory Maleńczuka, ale także przeboje z repertuaru m.in.: Bohdana Łazuki, Wojciecha Młynarskiego, Stanisława Grzesiuka, Johnnycgo Casha, Franka Sinatry. Wszystkie w nowych aranżacjach grupy Psychodancing, która u boku Maleńczuka wystąpi w składzie: Maciej Muraszko – perkusja, Andrzej Laskowski – gitara basowa, Kuba Fry-

drych – gitara elektryczna oraz Grzegorz Stasiuk – keyboard. *

Skrzyżowanie kultur



**XX Targi Turystyczne
NA STYKU KULTUR**
Łódź **21-23.02.2014**



Na jubileuszowe **XX Targi – Regiony Turystyczne „Na styku kultur”** zapraszają w dniach **21-23 II** Międzynarodowe Targi Łódzkie. Na stoiskach w hali Centrum Konferencyjno-Wystawienniczego przy al. Politechniki 4 zaprezentują się miasta i regiony Polski, Europy i świata, a także uzdrowiska, muzea, biura podróży.

Targi można zwiedzać w godz. 10-17 (21 II), 10-18 (22 II) i 10-16 (23 II). *

Historia muzyki elektronicznej

„Moizm” to tytuł nowej, czwartej płyty **Tomka Makowieckiego**. Utwory z niej artysta wykona **21 II** w Klubie Wytwórnia (ul. Łąkowa 29). Eklektyczny album jest efektem trzech lat pracy – to autorska interpretacja historii muzyki elektronicznej. Makowiecki skomponował większość utworów



i wyprodukował album. Do nagrań zaprosił m.in.: Daniela Blooma, Władysława Komendarkę i Józefa Skrzeka.

Z Makowieckim zagrają: Kuba Staruszkiewicz – automaty perkusyjne, Patryk Stawiński – gitara basowa, syntezator, Olek Świerkot – gitara. *

Bolszoi w HD

Na transmisję na żywo ze spektaklu baletowego moskiewskiego Teatru Bolszoi zaprasza **2 II** Kino 3D Wytwórnia. Będzie to pierwsza z cyklu transmisji z jednej z najsłynniejszych scen baletowych świata (Łódzcy melomani mogą od lat oglądać w Filharmonii Łódzkiej spektakle z Metropolitan Opera w Nowym Jorku przekazywane w jakości obrazu high definition i dźwięku Dolby Digital Surround). Kino 3D Wytwórnia rozpoczęło swe prezentacje teatralne w grudniu od pokazu z National Theatre w Londynie. Jako pierwszy spektakl Teatru Bolszoi zobaczymy „**Stracone złudzenia**” do muzyki Leonida Desiatnikowa, z choreografią Aleksieja Ratmanskiego, dla którego inspiracją była słynna powieść Balzaca. Dwa tygodnie później (**16 II**) pokazany zostanie „Korsarz” Adolphe Adama (retransmisja). W marcu zaplanowano „Śpiącą królową” Piotra Czajkowskiego (retransmisja), „Klejnoty” z choreografią George’a Balanchine’a (retransmisja) oraz kolejny przekaz na żywo: „Złoty wiek” Dymitra Szostakowicza. *



Spektakl „Korsarz” w Teatrze Bolszoi

Młoda twórczość

Łódzki Dom Kultury zaprasza **15 II** do Sali Kolumnowej na **koncert walentynkowy**. Usłyszymy utwory: „Amor Vincit Omnia” (poemat symfoniczny) oraz „Kantata Majestat Życia” – oba autorstwa Piotra Piątkowskiego, który podczas koncertu poprowadzi Orkiestrę Symfoniczną Teatru Nowego im. K. Dejmka w Łodzi. Wystąpią też: Chór Mie-



szany Społecznej Akademii Nauk w Łodzi i młodzi soliści.

Poemat „Amor Vincit Omnia” jest drugim dziełem symfonicznym młodego łódzkiego twórcy, który aranżuje swoje kompozycje, łącząc różnorodną stylistykę – rock, rap czy pop. *

Komu Złoty Ekslibris?

Do **2 III** można zgłaszać propozycje do **Nagrody Złoty Ekslibris** Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi za publikacje wydane w 2013 roku. Oceniane będą w czterech kategoriach: Najlepsza książka o Łodzi, Najlepsza książka o ziemi łódzkiej, Najlepsze wydawnictwo albumowe o Łodzi, Najlepsze wydawnictwo albumowe o ziemi łódzkiej. Nagroda zostanie wręczona w kwietniu – już po raz dwudziesty drugi. Zgłoszenia można składać w sekretariacie WBP w godz. 8-15.30 (poniedziałek-piątek) albo przesłać na adres biblioteki (90-508 Łódź, ul. Gdańska 100/102) z dopiskiem „Złoty Ekslibris” lub przekazać pocztą elektroniczną na adres sekretariat@hycynt2.wimbp.lodz.pl. Regulamin oraz informacje o dotychczasowych laureatach zamieszczone są na stronie www.wimbp.lodz.pl w zakładce „Nagroda Złoty Ekslibris”. *

Miłośnię

Łódzka Piwnica Artystyczna „Przechowalnia” (ul. 6 Sierpnia 5) wznawia działalność! Z tej okazji zaprasza **14 II** o godz. 19 na „**PRZECHOWALNIĘ WalenTY-NOWĄ**”. Goście – Lora Szafran i Szymon

Zychowicz. Gospodarze – Elżbieta Adamiak, Ewa Rutkowska, Andrzej Poniedziałki. *
www.przechowalnia.art.pl

Mistrzowie z aparatami

W Galerii Imaginarium przy ŁDK (ul. Traugutta 18) **28 II** zostanie otwarta zbiorowa wystawa pt. „Foto-obiekt”. Zobaczmy prace ok. 40 twórców, w tym: Wojciecha Bruszewskiego, grupy Łódź Kaliska, Tomasza Ciecierskiego, Natalii LL, Edwarda Krasińskiego, Józefa Robakowskiego czy Zygmunta Rytki. *

Kogo nagrodzą artyści?

W ms1 (ul. Więckowskiego 36) **21 II** o godz. 18 zostanie ogłoszone nazwisko tegorocznego laureata **Nagrody im. Katarzyny Kobro** za 2013 rok – a zarazem zostanie otwarta wystawa jego prac. Pomyślną ideą nagrody przyznawanej artystce przez artystów jest Józef Robakowski (przez pierwsze lata była wręczana w Galerii Wschodniej, od 2011 r. – w muzeum). *

R E K L A M A



Centrum Kultury Młodych, ul. Lokatorska 13

1 II godz. 17

**„Ciekawie przy kawie – Klub Smakoszy Kultury”
BIAŁORUŚ**

Spotkanie z Andrzejem Kołłątajem – prezesem Stowarzyszenia „Białoruski Dom”, prezentacja wystaw prac plastycznych artystów białoruskich.

28 II godz. 18

„Inspirują mnie ludzie”

Wernisaż wystawy fotografii **Agnieszki Pękali**.

Klub „Dąbrowa”, ul. Dąbrowskiego 93

11 II godz. 17

„Randka nie zawsze w ciemno”

– składanka kabaretowa z aktywnym udziałem publiczności. Program rozrywkowy w wykonaniu kabaretu Porozmawiajmy o...

18 II godz. 10.30

„Tęczowe fantazje”

Spotkanie z łódzką poetką Urszulą Kowalską, promujące twórczość dla dzieci.

Na wszystkie imprezy wstęp wolny

„Kalejdoskop” bez kalendarium

Świat przyspiesza, informacji jest coraz więcej i coraz szybciej się zmieniają. Dlatego, dbając o aktualność przekazywanych treści, postanowiliśmy od lutego 2014 roku zastąpić kalendarium z wersji papierowej „Kalejdoskopu” bieżącym serwisem informacyjnym w Internecie (portal: e-Kalejdoskop). Ale mamy do zaproponowania nową ofertę.

Istnieje możliwość umieszczania (za niewielką opłatą – już od 30 zł) na stronach tekstowych „Kalejdoskopu” modułów promujących wydarzenia kulturalne. Zamawiający decyduje o treści i zawartości informacji – my projektujemy i przesyłamy ogłoszenie do akceptacji. Dzięki strukturze modułowej informacja jest wyraźna i odcina się od reszty tekstów. Wielkość modułu podstawowego to 1/8 powierzchni strony magazynu.

Jednocześnie zwracamy się do organizatorów życia kulturalnego w Łodzi i regionie: nadal informujcie nas Państwo o wszystkim, co robicie (a zwłaszcza, co będziecie robić), abyśmy mogli planować zawartość papierowej wersji „Kalejdoskopu” (będziemy zamieszczać zapowiedzi ważnych wydarzeń) i tworzyć nasz bieżący serwis internetowy.

Maski awangardzisty

Projekty scenograficzne **Lecha Kunki**, znakomitego łódzkiego artysty awangardowego, można będzie oglądać w Muzeum Miasta Łodzi (ul. Ogrodowa 15) od **17 II**. Na wystawie przygotowanej wspólnie z Teatrem Arlekin z okazji Międzynarodowego Dnia Teatru znajdują się w większości nigdy nie eksponowane projekty dekoracji, lalki, maski, dokumentacja fotograficzna oraz plakaty. *



Sztuka etyczna

W Ośrodku Propagandy Sztuki (park im. Sienkiewicza) **7 II** zostanie otwarta wystawa pt. „**Podróż sentymentalna. Pracownia Grafiki Warsztatowej prof. Tomasza Chojnackiego ASP w Łodzi (1989-2013)**”. Profesor uważa, że zasadą nauczania w pracowni był „przede wszystkim element etyczny, moralny, a więc nie tylko prowadzący do rozwijania możliwości technicznych czy intelektualnych, ale również poszerzający możliwości i osobowość artystyczną studenta”. Zadaniem młodych twórców było odnoszenie się do natury – ciągle reagowanie na otaczającą rzeczywistość. *

Człowiek załęczniony

Malarstwo **Pawła Kwiatkowskiego** można będzie oglądać na wystawie, która zostanie otwarta **6 II** w Galerii Re:Medium przy ul. Piotrkowskiej 113. Paweł Kwiatkowski ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Łodzi – w 2010 r. zdobył Grand Prix

w Konkursie im. W. Strzemińskiego „Sztuki Piękne”. Od 2011 r. jest asystentem w macierzystej uczelni. Tworzy obrazy i grafiki.



Artysta zaprezentuje malarstwo, w którym najważniejszy jest człowiek – melancholijny, opuszczony, załęczniony współczesnym życiem. *

Codzienny banał

„Wchodzi moc” to tytuł performansu, który **Magdalena Starska** zaprezentuje w Galerii Manhattan (ul. Piotrkowska 118) **14 II**. Artystka jest członkiem grupy Penerstwo. Istotą działań Starskiej jest tworzenie sytuacji wspólnotowych. Interesuje ją, w jakim stopniu to, co osobiste i indywidualne, może mieć wartość społeczną. Po działaniach pozostaną obiekty/urządzenia, które będzie można oglądać (i używać ich) do końca lutego. *

Badanie reakcji

Muzeum Miasta Łodzi (ul. Ogrodowa 15) zaprasza **1 II** na pokaz filmów wideo **Wiktora Polaka** i spotkanie z autorem. Artysta (rocznik 1979) jest łódzianinem, absolwentem Łódzkiej ASP. Realizuje autorskie filmy nagrywane w przestrzeni publicznej lub prywatnej. Ich bohaterowie to on sam i przypadkowi przechodnie/pasażerowie. Wstęp wolny. *

Mistrzynie

Wanda Wilkomirska, uznawana za najwybitniejszą polską skrzypaczkę, świętowała w styczniu swoje 85. urodziny w nowej sali koncertowej Akademii Muzycznej w Łodzi przy ul. Żubardzkiej. Uczelnia, którą artystka ukończyła i od której otrzymała kilka lat temu tytuł doktora honoris causa, zorganizowała dla niej specjalny koncert. Odbyła się też projekcja filmu dokumentalnego o Wilkomirskiej pt. „Ja wam to zagram”. Bohaterka nie chciała go oglądać. – *Zawsze przy nim płaczę* – tłumaczyła. *

Foto: DARIUSZ KULESZA



„**Jack Strong**”, dramat historyczny, Polska, reż. Władysław Pasikowski, obsada: Marcin Dorociński, Patrick Wilson, Maja Ostaszewska, Krzysztof Globisz, Krzysztof Pieczyński. *Opowieść o kulisach współpracy pułkownika Kuklińskiego z CIA, a także o brawurowej ucieczce z Polski. Amerykańskim agentom udało się wywieźć go wraz z rodziną, ukrytych w samochodzie.*

„**Goltzius and the Pelican Company**”, biograficzny, W. Brytania, Holandia, Francja, Chorwacja, reż. Peter Greenaway, obsada: Ramsey Nasr, F. Murray Abraham, Vincent Riotta. *Utalentowany artysta Hendrik Goltzius chce wydać erotyczną, obrazkową wersję Starego Testamentu.*

„**Ona**”, komedia, USA, reż. Spike Jonze, obsada: Joaquin Phoenix, Katherine Boecher, Scarlett Johansson. *W niedalekiej przyszłości Theodore, samotny pisarz, kupuje system operacyjny, który ma spełniać wszystkie potrzeby użytkownika. Między pisarzem a jego systemem operacyjnym rozwija się romans.*

„**Pompeje**”, przygodowy, USA, Niemcy, reż. Paul W.S. Anderson, obsada: Kit Harington, Emily Browning, Kiefer Sutherland, Carrie-Anne Moss. *Niewolnik Milo, który stał się niezwykłym gladiatorem, musi uratować ukochaną Flawię, piękną córkę bogatego kupca.*

„**Tajemnica Filomeny**”, komedia, Wielka Brytania, reż. Stephen Frears, obsada: Judi Dench, Steve Coogan, Mare Winningham. *Będąc młodą dziewczyną, Filomena zaszła w ciążę i jako zhańbiona została odesłana do klasztoru. Zakonnice oddały dziecko do adopcji. 50 lat później kobieta postanawia odnaleźć syna.*

„**Co jest grane, Davis?**”, dramat, USA, reż. Ethan Coen, Joel Coen, obsada: Carey Mulligan, Justin Timberlake, Oscar Isaac. *Film inspirowany życiem amerykańskiego piosenkarza folkowego Dave'a van Ronka, który wywarł duży wpływ m.in. na Boba Dylana.*

„**Jak ojciec i syn**”, dramat, Japonia, reż. Hirokazu Koreeda, obsada: Masaharu Fukuyama, Machiko Ono. *Ryota ma bardzo udane życie i kochającą rodzinę. Wszystko się zmienia, gdy bohater dowiaduje się, że w szpitalu wydano im nie ich dziecko.*

„**Obrońcy skarbów**”, dramat, USA, Niemcy, reż. George Clooney, obsada: Matt Damon, George Clooney, Cate Blanchett, Bill Murray. *Grupa amerykańskich i brytyjskich znawców sztuki, zwerbowanych przez rząd USA, próbuje odzyskać dzieła zrabowane przez nazistów podczas II wojny światowej.*



„Obrońcy skarbów”

Wojciech Frankowski „Kolumb odkrył Amerykę, a łódzcy muzycy Finlandię”. Dom Wydawniczy Księży Młyn, Łódź 2013.

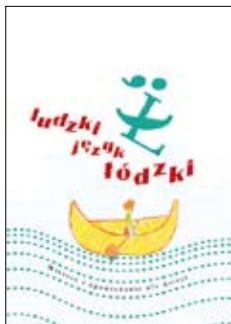


Z archiwum gazetowego fotoreportera do druku przysposobił i opisem opatrzył Zbigniew Zaliński.

Próba opisania zarobkowej emigracji polskich muzyków, ale także charakterystyka Finlandii lat 70. i 80. ubiegłego wieku. Autor opisuje to skandynawskie państwo pod kątem społeczno-

politycznym i kulturowym, porównuje ustroje Finlandii i ówczesnej Polski – oraz panujące w obydwóch krajach nastroje. *

„Ludzki język łódzki” – wiersze i opowiadania dla dzieci. Muzeum Miasta Łodzi, 2013.



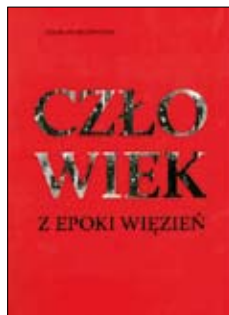
W wyniku przeprowadzonych w Muzeum Miasta Łodzi warsztatów pisania (dla dorosłych) i ilustrowania (dla dzieci) bajek powstała ładnie wydana książka. Inspiracją była twórczość Juliana Tuwima, a punktem wyjścia – słowa używane tylko w Łodzi. W publikacji znalazło się 26 utworów

– oczywiście wdzięcznie ilustrowanych przez dzieci. Jest też słownik łódzkich wyrazów i nazw, z którego można się dowiedzieć, co to jest cajt, glanc czy rejwach. Książka nie jest sprzedawana – trafiła do wielu bibliotek szkolnych w Łodzi i województwie.

Częścią projektu, realizowanego pod patronatem „Kalejdoskopu”, jest strona internetowa www.jezyk.muzeum.lodz.pl – można tu znaleźć wiersze, opowiadania, ilustracje i nagrania (do niektórych wierszy Michał Makulski skomponował muzykę), które powstały w ramach projektu „Ludzki język łódzki”. Dla czytelnika, który 3 II o godz. 11 jako pierwszy przyśle do nas e-mail (na adres kalejdoskop@ldk.lodz.pl) z tłumaczeniem łódzkiego słowa „blichwać” oraz swoim imieniem i nazwiskiem, mamy egzemplarz opisywanej książki. *

ludzki.pl) z tłumaczeniem łódzkiego słowa „blichwać” oraz swoim imieniem i nazwiskiem, mamy egzemplarz opisywanej książki. *

Zdzisław Szczepaniak „Człowiek z epoki więzień. Opowieść o Przeboju (Aleksym Rzewskim)”. Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2013.



Napisana przez łódzkiego dziennikarza monografia Aleksego Rzewskiego (1885-1939) – robotnika, działacza społecznego, bojownika PPS, polityka, pierwszego prezydenta Łodzi w niepodległej Polsce. Postaci barwnej, już za życia otoczonej legendą. To nie klasyczna

biografia, ale opowieść, próba przedstawienia życia Rzewskiego w sposób żywy, przystępny i ciekawy. Autor zastosował konwencję wywiadu-rzeki. *

Eugeniusz Kudaj „Expressem przez PRL”. Z archiwum gazetowego fotoreportera do druku przysposobił i opisem opatrzył Zbigniew Zaliński. Dom Wydawniczy Księży Młyn, Łódź 2013.



Szczególny dla łodzianina album, złożony ze zdjęć wykonanych przez zmarłego w 2010 r. znanego fotoreportera „Expresu Ilustrowanego”. Zawiera ponad sto fotografii ukazujących życie miasta w latach 60. i 70. XX wieku. Z książki dowiadujemy się (lub sobie przypominamy...), jak wyglądało codzienne

życie Łodzi w czasach PRL – Kudaj zarejestrował zaprzęgi konne na ulicach, pracujące włóknianki, pochody pierwszomajowe (tekturowa „Aurora” znalazła się nawet na okładce), kolejki w sklepach, czytelnię biblioteki uniwersyteckiej. Znakomita lektura w czasach rodzącej się, nostalgicznej tęsknoty za PRL. *

Kulki i armatka

Piotr Grobliński

AŻ Festiwal zwyciężył w naszym plebiscycie na najbardziej wystrzałowe wydarzenie kulturalne 2013 roku. Nagrodę – Armatkę Kultury – organizator festiwalu, czyli Akademia Muzyczna w Łodzi, odbierze podczas gali w Łódzkim Domu Kultury 7 lutego.

W plebiscycie Energia Kultury telewizji Toya, klubu Wytwórnia i łódzkiej „Gazety Wyborczej” na wydarzenie kulturalne 2013 roku w Łodzi kapituła wybrała 12 finalistów. Głosy publiczności zdecydowały, że kołyskę Newtona z jedną złotą kulką otrzymali organizatorzy wielkoformatowych projekcji na pl. Wolności w ramach Festiwalu Kinetycznej Sztuki Światła (wydarzenie roku) i ks. Waldemar Sondka (człowiek kultury).

Ponieważ brakowało nam na liście propozycji kilku ważnych wydarzeń, zdecydowaliśmy się na zorganizowanie własnej, skromniejszej wersji plebiscytu. W myśl zapamiętanego z przedszkola wierszyka *Co to za zagadka: dwie kulki i armatka?* naszą nagrodę nazwaliśmy ARMATKĄ KULTURY. Bez armatki kulki są bezużyteczne, bez kulek do niczego niepotrzebna jest armatka. Dlatego te dwie nagrody – w naszym mniemaniu – nie konkurują ze sobą, ale się uzupełniają. A oto nasza lista, alternatywna

wobec propozycji ekspertów telewizji Toya i „Gazety Wyborczej”:

1 **AŻ Festiwal** – cykl koncertów w nowej sali Akademii Muzycznej przy ulicy Żubardzkiej. Kultura wchodzi (wychodzi) na łódzkie blokowiska z ciekawą, ambitną propozycją. Jednocześnie to znakomity przykład otwarcia szkoły artystycznej na potrzeby mieszkańców miasta. No i świetna nazwa.

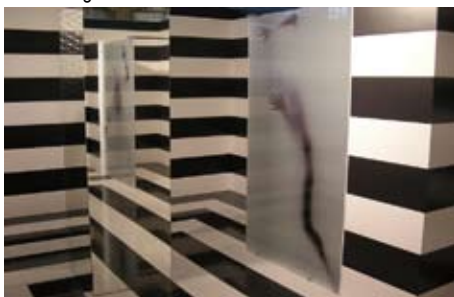
2 Trzy premiery **Sceny Arterion** – *Związek otwarty, Próby i Febe wróć*. Powstanie prywatnego teatru to wielka radość dla łódzkiej publiczności, która nawet w przypadku bankructwa scen repertuarowych nie zostanie z niczym.

3 Wystawa **Opus sacrum. Opus profanum** w Centralnym Muzeum Włókiennictwa – wydarzenie Festiwalu Kultury Chrześcijańskiej. Ar-

AŻ Festiwal – inauguracja nowej sali AM



Łódź Design Festival 2013



Obraz Magdaleny Moskwy



cydzieła polskiego malarstwa z kolekcji lwowskiej, w takim wyborze nie do zobaczenia nawet we Lwowie. W Łodzi okazja do obejrzenia czegoś sprzed epoki instalacji i wideo artu.

4 *Tuwim obecny* – nieskromnie umieszczamy w zestawieniu imprezę przygotowaną w Łódzkim Domu Kultury. W październikowy wieczór ośmioro poetów przeczytało wiersze inspirowane twórczością „starszego kolegi”. Jeden z mocniejszych akcentów Roku Tuwima.

5 *Dialogi w katedrze* – nasz nowy arcybiskup rozmawia z wiernymi o najważniejszych problemach współczesności. W dodatku spotkania mają świetną, zdradzającą znajomość literatury nazwę. Jego Ekscelencja nie tylko mówi, ale i słucha. Po jednej z rozmów zainteresował się sprawą Łódzkiego obozu dla dzieci przy ulicy Przemysłowej, czego efektem było wmurowanie tablicy i marsz upamiętniający wydarzenia z czasów II wojny światowej.

6 Wystawa malarstwa **Magdaleny Moskwy** w galerii Opus. Obrazy z lat 2003-2013 najwybitniejszej łódzkiej (polskiej?) malarki. Prywatna galeria, którą trzeba docenić.

7 **Festiwal Designu** – najlepsza od kilku lat edycja tej imprezy. Organizatorom udało się znaleźć złoty środek między artystycznymi ekstrawagancjami a prezentacją użytkowych projektów. Do tego znakomite wystawy fotograficzne.

8 **Anna Maria Jopek** w Wytwórni – wspaniały koncert, który nie mógł się znaleźć w finale Energii Kultury z powodu niepotrzebnej skromności jednego z organizatorów plebiscytu.

9 Zakończenie remontu secesyjnej willi przy ulicy Wólczańskiej – siedziby **galerii Willa**. Perła łódzkiej secesji uratowana. W dodatku koszt inwestycji znikomy, jeśli porównać z rozdętymi do granic absurdu budżetami innych remontów instytucji kultury.

10 Rozbudowa Muzeum Włókiennictwa o **interaktywne muzeum** w zrewitalizowanym budynku kotłowni. Biała Fabryka staje się powoli wielką turystyczną atrakcją – w 2013 roku została jednym z siedmiu nowych cudów Polski.

11 *Madama Butterfly* w Teatrze Wielkim – nareszcie opera zrealizowana z rozmachem godnym nazwy teatru. W dodatku ten rozmach czemuś służył – mianowicie muzyce Pucciniego. Reżyseria Janiny Niesobskiej.

12 Wydanie **dzieł wszystkich Nietzschego** przez łódzką OFFicynę. Małe łódzkie wydawnictwo porwało się na wielki projekt. Wszystkie dzieła genialnego filozofa ukazują się w nowych tłumaczeniach.

Na naszą listę można było głosować do 15 stycznia. Zwycięzcą – dzięki Państwa głosom, oddawanym głównie na naszym portalu – został **AŻ Festiwal**.

„Madama Butterfly”, Teatr Wielki



Projekt interaktywnego muzeum na dziedzińcu CMW





Marek Maliszewski „W połowie drogi”. Wystawa w Galerii Nowej w ŁDK (ul. Traugutta 18) – otwarcie 14 II o godz. 18

Dwa te orły mamy



Andrzej Poniedziałki

Z powodów „walentynkowych” tak oto pozwoliłem sobie ze Stanisławem Wyspiańskim pogwarzyć. O pewnej, nie nazbyt prostej miłości.

*„Ptok ptakowi nie jednaki,
człek człekowi nie dorówna,
dusa dusy zajrzy w oczy,
nie polezie orzeł w gówna”*

*Oj polezie, oj polezie
Nie raz polazł
Polazł nie raz
Skrzydła białe se ubabrał
W co on dzioba nie wycierał
A w tym nasza jest nadzieja
W to wierzamy
Że my może, a daj Boże
Dwa, tak, dwa te orły mamy
Jeden biały, nieskalany i wielebny
I ten drugi, drugi orzeł
O – ćwiczebny*

*Patriotyzm
To jest miłość
Ta nie pyta – jak to było?
Tej miłości stroną ciemną
Jest jedynie/aż – wzajemność*

*Patriotyzm –
To od – patria – to ojczyzna – po łacinie
Nie od – Partia
Era przejęczyceń minie*

*Patriotyzm
To nie psoty
To jest miłość
To spokojny, czuły dotyk
Spokój poczuć
I rozumny
czuły
dotyk*

PS. O tej, ale i o normalnej, codziennej miłości będziemy mówić i śpiewać **14 II** od godz. 19 w Łódzkiej Piwnicy Artystycznej PRZECHOWALNIA (ul. 6 Sierpnia 5).

Zamykam rozdział śnienia

Przez długi czas nie potrafiłam wykorzystać tego, co dostałam od losu, nie umiałam przekuć tego na działanie twórcze. Ciągle czekałam na coś, co odmieni moje życie – mówi AGNES GREINERT, wokalistka, aktorka i wykładowczyni PWSFTViT w Łodzi, której debiutancka płyta *Czekam na jutro* będzie miała premierę 2 marca.

Rafał Gawin: – Jako wokalistka udziela się pani od wielu lat. Dlaczego tak długo czekaliśmy na płytę?

Agnes Greinert: – Pracuję z muzykami, którzy są bardzo zajęci, dwóch jest spoza Łodzi: Wojciech Lipiński z Kielc, Marcin Fidos z Warszawy. Trudno było nam ustalić wspólne terminy. Podjęliśmy próbę realizacji bez środków finansowych w studiu naszego kolegi: w ciągu roku nagraliśmy zaledwie jeden utwór. Pomyślałam, że dobrze byłoby jednak zebrać fundusze, byśmy mogli wyjechać z Łodzi na kilka dni i nagrać wszystko. Jarosław Urbaniak, prezydent Ostrowa Wielkopolskiego, gdzie się urodziłam, postanowił nam pomóc, dofinansowując album. Taki sam udział finansowy w projekcie miał starosta Ostrowa Wielkopolskiego – Paweł Rajski. Pomysł, w jakim studiu to najlepiej realizować, poddał Tomek Gołębiowski, organizator Manu Summer Jazz Sundays w Manufakturze, który powiedział: Agnes, najlepsze studio jest w Lubrzy. Zbierasz chłopaków na tydzień i masz wszystko z głowy. Potem sama rejestrujesz wokale – i jest materiał. Tak się stało.

EPkę Agnes nagrała Agnieszka Greinert, płytę – już Agnes Greinert.

– Od lat wielu ludzi mówi na mnie Agnes. Ponadto na naszą stronę internetową grafik wymyślił bardzo fajne logo „Agnes”. Pomyślałam, że to jest najbliższe prawdzie i temu, jak dzisiaj jestem postrzegana.

Kim była Agnieszka Greinert, zanim została Agnes?

– Skończyłam szkołę średnią w klasie wokalu i podstawową w klasie skrzypiec. Ale to przy akompaniowaniu sobie na gitarze wymyślałam swoje pierwsze piosenki. Gdy studiowałam w Szkole Filmowej, zostałam zmuszona przez kolegów, by im grać na pianinie, co sprawiło, że obudziłam w sobie większą potrzebę kontaktu z tym instrumentem. Bardzo lubiłam zajęcia z harmonii w średniej szkole muzycznej. Byłam jedyną dziewczyną, która z łatwością tworzyła słupki harmoniczne. Pisanie piosenek stało się po prostu konsekwencją wszystkich tych działań...

Zespół, z którym pani współpracuje, powstał przy okazji projektu *Jazzowo-Kolorowo*. Skąd wiedziała pani, że to jest właśnie ten zespół?

– To była magia. W 2007 roku leżałam w szpitalu. Miałam czas na przemyślenia. Przypominałam sobie, że jako nastolatka byłam nieprawdopodobnie twórcza. Coś we mnie bardzo chciało wrócić do tego stanu. Pomyślałam wówczas o kilku już napisanych przeze mnie piosenkach... Tylko, Agnes, przecież ty tego nie zaaranżujesz, potrzebujesz muzyków. Pracowałam już od dwóch lat z Marcinem Janiszewskim, akordeonistą i pianistą jazzowym. Grał z kontrabasistą Marcinem Fidosem i przy okazji jakiegoś koncertu podjęliśmy współpracę. Do



Zdjęcia: KATARZYNA GRZELAKOWSKA

dwóch Marcinów dołączył Radek Bolewski, perkusista zespołu Fonovel, z którym spotkałam się podczas realizacji musicalu *Grają naszą piosenkę* w Teatrze Muzycznym w 2008 roku. W roku 2009 współpracowałam z gitarzystą Wojtkiem Lipińskim przy spektaklu dyplomowym *Longplay*, który wyreżyserowałam ze studentami Szkoły Filmowej według mojego scenariusza. Kiedy więc tego samego roku okazało się, że mogę zrobić recital na scenie Teatru Nowego, zaprosiłam do współpracy wszystkich czterech panów. Tak oto powstał recital *Jaz-zowo-Kolorowo*, na koniec którego zagraлиśmy *List Hanusi* – moją pierwszą kompozycję. Po koncercie chłopcy oświadczyli, że chętnie pomogą opracować pozostałe utwory. I tak oto powstał cały materiał *Czekam na jutro*.

Magia wewnątrz zespołu to jedno, praca nad płytą to już inny etap działalności grupy.

– Nad płytą pracowaliśmy w piwnicy u Radka. Przynosiłam melodie z rysem harmonicznym, a muzycy wywracali je, sprawiali, że stawały się kawałkiem dobrej muzyki. Tylko jeden utwór był dopracowany aranżacyjnie i rozpisany w nutach, reszta tworzyła się pod wpływem twórczych impulsów moich zdolnych kolegów. Nagrania w studiu to był już etap końcowy. Pojechaliśmy tam na cztery dni: chłopcy zarejestrowali dwanaście piosenek, trzynastą dograłam później tylko z fortepianem Marcina.

Jak przebiegała współpraca z producentem nagrań?

– Produkcja w naszym przypadku nie była tak „wykręcona” jak u dzisiejszych zespołów, to bardzo akustyczne granie. Wokaliści twierdzą, że jestem śpiewającą aktorką, aktorzy, że grającą wokalistką, wykonawcy poezji śpiewanej uważają, że jestem operetkowa. Mój wokal na płycie miał brzmieć tak, jak brzmieć na żywo. Nie było obróbki, dodano minimalny pogłos.

Najmniej akustyczny utwór to *Ameterasu*, rytmiczny, melodyjny kandydat na hit.

– Wcześniej z gitarą elektryczną realizowaliśmy więcej utworów i wydawało mi się to świeże i nowe:

wypadały dużo bardziej ekspresyjnie. Potem chłopcy to zmienili, utwory zrobiły się łagodniejsze i teraz myślę, że może nie do końca było to słuszne. Ale pozostawmy opinię słuchaczom. Dla mnie – jako aktorki – najważniejsze jest słowo, które nie się przesłanie. Skupiam się na słowie, muzykom pozostawiam resztę i ufam im w pełni. Do tej pory wspólne muzykowanie daje nam wielką radość, co z pewnością odczuwa publiczność.

Proszę powiedzieć kilka słów o każdym utworze.

– *Gram za gram* – tekst Andrzeja Poniedziałkiego znalazłam w *Zwierciadle*. Jest o tym, że parę gramów waży nasza dusza i dla niej tak naprawdę gramy. Zarejestrowałam go z moją melodią w Szkole Filmowej. Posłałam Andrzejowi, któremu się spodobał, choć wcześniej muzykę napisał Michał Bajor.

Ania-Mania – tu odważyłam się napisać słowa; przyszły do mnie razem z muzyką. To taka piosenka-antydepresantka o tym, że jest w nas siła kreacji, która początek ma w myśli. Jeśli myślisz pozytywnie, świat wokół ciebie staje się jaśniejszy. Działa!

Beztroska.

– To tekst Michała Zabłockiego. Zagrałam mu kilka piosenek, chciałam, by mi pomógł dopisać do płyty resztę tekstów. Wręczył mi około tysiąca wierszy... Wybrałam trzy. „Beztroska” mówi o tym, jak sami siebie zniewalamy tysiącem złych myśli...

Śmieszna piosenka też przysłała do mnie podczas spaceru: nuciłam melodię i pojawiły się słowa. Kobietom wydaje się, że mężczyzna dopełni naszą pustkę. Wiadomo, że to iluzja, ale miło pomarzyć...

Jeśli chodzi o *Ameterasu*, to w tomiku Leszka Aleksandra Moczulskiego znalazłam wiersz *Samotność i nie samotność*. Bardzo mi się spodobał, ale kiedy podłożyłam tekst pod melodię, wydał się smutny. Akurat czytałam wiele książek o leczeniu dźwiękiem i mantrach; wykorzystałam jedną, pan Leszek nie protestował – i tak powstało *Ameterasu*.

List Hanusi, czyli pierwszy tekst, do którego napisała pani muzykę.

– Z Izą Kuną, moją przyjaciółką ze studiów w Szkole Filmo-

wej, pojechaliśmy na festiwal piosenki aktorskiej do Wrocławia. Przyniosła mi wiersz Kazimierza Przerwy-Tetmajera i mówi: napisz mi do tego muzykę. Wykonałam zadanie. Iza i ja przywieźliśmy z Wrocławia wyróżnienie. Zagrałam to po latach mojemu pianiście Marcinowi, powiedział: To jest dobre, pisz piosenki. Tak się zaczęło, dzięki niemu usiadłam do pianina i napisałam pozostałe...

Old Song, Dieta i Nikt tylko ty.

– Zdecydowaliśmy się na trzy covery. W tym dwa utwory Mariana Hemara: dobrze znany *Nikt tylko ty* i *Dieta*, którą uwielbiam – tekst sprzed stu lat, który może dzisiaj stać się hitem. Wojciech Młynar-

ski nazywa Hemara ojcem polskiej piosenki. Chciałam, by na płycie pojawiło się tak wspaniałe nazwisko. Zamieściliśmy też *Old Song* z tekstem Agnieszki Osieckiej. Piosenkę usłyszałam w *Nożu w wodzie* Romana Polańskiego i zakochałam się...

Kolysanka zatapiańska.

– Jacek Orłowski ze Szkoły Filmowej poprosił mnie, bym napisała jakąś niepokojącą melodię do *Braci Karamazow*, których realizował ze studentami. Napisałam i... zaczęła za mną chodzić. Więc pomyślałam, że oswoję ją. Podczas podróży do Krakowa napisałam do niej słowa. O miłości skończonej, jasnej, otwierającej na cały świat.





Codzienni twórcy.

– To tekst Michała Zabłockiego. Ludzie, którzy chcą żyć dla swojej pasji, radości, tworzenia, nie przywiązując wagi do zysków i sławy, są postrzegani jako naiwni, ale oni są wygrani. Nad światem jest świat odwrócony – i tam ceni się tylko działanie z powodu radości serca! Ot, taka historyjka.

Czekam na jutro. Dlaczego został utworem tytułowym?

– To też tekst Michała. Królowa siedzi w wieży i czeka na tego jedyne. Idealny tytuł dla mnie. Przez długi czas nie potrafiłam wykorzystać tego, co dostałam od losu, nie umiałam przekuć tego na działanie twórcze. Ciągle czekałam na coś, co odmieni moje życie. Stąd tytuł płyty. Dzisiaj już wiem, że trzeba działać. Jesteś odpowiedzialny za talent, który został ci darowany. Na większość rzeczy nie masz wpływu, ale zmieniaj to, co możesz. Dlatego ta piosenka jest na zakończenie – bym mogła zamknąć już ten rozdział śnienia i otworzyć nowy: odważnie podążać w kierunku swoich marzeń i pasji!

Jest jeszcze bonus: *Matko Boska Studzieniczna*.

– Leszek Aleksander Moczulski podarował mi to-

mik poezji. Tam znalazłam *Matkę*... Muzykę napisałam w ciągu godziny. Na płytę trafiła wersja z samym fortepianem, choć oczywiście na koncertach gramy to z całym zespołem. Od autora dowiedziałam się, że taka Matka Boska Studzieniczna istnieje, w Studziennej koło Augustowa. Dwa tygodnie po napisaniu tego utworu prowadziłam z moim pianistą warsztaty z piosenki dla młodzieży właśnie w Augustowie. Tam po raz pierwszy zaśpiewaliśmy ten utwór. Niezwykłe, że los tak tym pokierował... To takie małe cudencko, które pomaga mi wierzyć, że jednak jesteśmy pod dobrą opieką.

Powiedzmy coś na temat warstwy muzycznej. Nazwałbym to piosenką artystyczną z elementami rocka, jazzu, popu i folku.

– Dokładnie tak to widzę. Chłopcy są muzykami jazzowymi z różnorodnym bagażem doświadczeń, a ja nie śpiewam w jakimś konkretnym stylu, tylko tak, by mi było wygodnie i zdrowo dla głosu i bym mogła wyrazić emocje zawarte w danym utworze.

Jakiej muzyki pani słucha?

– Uwielbiam Leszka Możdżera. Także to, co prezentuje w swoich sjestach Marcin Kydryński, jest mi bliskie. Barbary Streisand słucham po prostu „ku-błami”. Bardzo lubię i doceniam Dorotę Miśkiewicz, Agę Zaryan, Kayah... Och, wiele jest fajnych polskich wokalistek. Wojciecha Młynarskiego walcuję nieustannie, rozjaśnia mój dom. Kabaret Starzych Panów jest jak Biblia. Jak widać, królują piosenki z tekstem...

Jakie ma pani plany na przyszłość?

– Płyta to teraz „number 1an”! Chciałabym zagrać jak najwięcej koncertów promujących album *Czekam na jutro*. No i powolutku zacząć pisać nowe rzeczy. Zrealizowałam niedawno projekt z utworami tangowymi *Agnes de Buenos Aires*, może uda się, by i ten projekt zafunkcjonował w szerszym aspekcie. I mam w szufladzie scenariusz autorstwa mojego przyjaciela, Andrzeja Maculewicza, więc kto wie? Jeśli los będzie nam przychylny i coś się wykrystalizuje – dzwonię do *Kalejdoskopu!* *

Okno za okno, list za list



Piotr Grobliński

Coraz mniej ludzi pisuje dziś listy. No chyba, że chodzi o listy otwarte – tych mamy prawdziwy wysyp, jakby stworzyć pocztową skrzynkę przed świętami. Piszą politycy, piszą ludzie kultury. Kiedy podpisy zbierano w czyjejs obronie, np. dysydentów prześladowanych przez władzę, dziś listy otwarte i publiczne apele pisze się, by władzy pomóc.

11 grudnia w 6. Dzielnicy (taki klub mieszczący się po sąsiedzku z Urzędem Miasta) odbyła się debata o przygotowanym przez „Politykę” raporcie na temat Łodzi. – *Czuję niedosyt* – powiedziała biorąca udział w dyskusji prezydent Hanna Zdanowska. – *Otrzymał mi się świetny rys historyczny, ja jednak wolę mówić o przyszłości.*

I proszę – już 17 grudnia po południu w 6. Dzielnicy zebrali się przedstawiciele łódzkich instytucji kultury, aktywiści pozarządowi i publicyści, by wspólnie wystosować apel do radnych naszego miasta. W apelu postulowali zakończenie współpracy miasta z Markiem Żydowiczem oraz jego Fundacją Sztuki Świata. 18 grudnia list opublikowały gazety, a rankiem 19 grudnia konferencję prasową zwołała Hanna Zdanowska. I co powiedziała?

– *Ja po raz kolejny postanowiłam zaapelować do łódzkich radnych, żeby podjęli jeszcze raz próbę dyskusji na temat rozliczenia się z Fundacją Sztuki Świata w kwocie, którą przedstawiliśmy już dwukrotnie, ponieważ zaistniały nowe okoliczności w sprawie, bo również ludzie kultury zwrócili się z apelem do radnych.*

Pani prezydent zaskoczona nowymi okolicznościami, tym niespodziewanym apelem ludzi kultury? Być może... Nie mogę się jednak oprzeć wraże-

niu, że coś tu jest nie w porządku. Nie twierdzę, że wszyscy sygnatariusze chodzą na pasku pani prezydent. Takich osób jak Jacek Michalak, Michał Kędziński, Jarosław Suchan czy Wojciech Nowicki nigdy bym o to nie podejrzewał. Chcę powiedzieć, że inicjatorzy listu – świadomie lub nie – pomagają władzy, a ta chętnie z tego korzysta. Są trochę jak prymusi starający się odgadnąć, co chce usłyszeć nauczyciel. Czy jednak wypada skarżyć na kolegę, choćby był mało sympatyczny? Rada Polityczna 6. Dzielnicy zdecydowała: **Żydowicz jest u pani!**

Pytam więc autorów listu: co będzie, jeśli w październiku zmieni się władza i ktoś (chętni zawsze się znajdują) zacznie zbierać podpisy pod apelem o ich usunięcie z miejskich instytucji kultury? Albo o ograniczenie finansowania ich festiwali. Nawiasem mówiąc, żaden z tych festiwali nie osiągnął poziomu Camerimage.

Żeby była jasność: nie bronię Żydowicza. Wiele jego działań uważam za podejrzane, a wiele zachowań za nieodpowiednie. Ciągłe groźenie przeniesieniem festiwalu do innego miasta było marnym spektaklem. Ale listy ludzi kultury przeciw niemu to jednak przesada. Jeżeli to taki zły człowiek, to w żadnym razie nie wolno oddawać mu pieniędzy.

List oczywiście nic nie dał, co było do przewidzenia. Gdyby radni opozycji zmienili pod jego wpływem zdanie, dostawaliby podobny przed każdą sesją. Mimo to apeluję do ludzi kultury: Napiszcie list, by Rada Miasta zapłaciła mi 4,8 miliona. W zamian zobowiązuję się nie pisać już krytycznych felietonów, nie wkładać kija w mrowisko ani w tryby miejskiej maszyny. Cenę możemy negocjować... *

Dobrego początku

Maria Sondej*

Trudno uwierzyć, że 40 lat temu lokalny miesięcznik kulturalny o kilkutyśycznym nakładzie rozchodził się niemal w całości, a zdarzało się, że zwroty wynosiły dwa (!) egzemplarze! Tak było w przypadku „Kalejdoskopu”, którego pierwszy numer ukazał się w maju 1974 roku.

W Łodzi, jak w każdym dużym mieście, działały teatry, galerie, filharmonia, kina, muzea. Wiedzę na temat prezentowanych tam wydarzeń mieszkańcy czerpali głównie z plakatów i gazet codziennych. Wprawdzie przez kilka lat w „Dzienniku Łódzkim” ukazywał się comiesięczny dodatek zatytułowany „Łódzki Informator Kulturalny”, ale władze uznały, że miastu potrzebny jest specjalny periodyk z wiadomościami, co, gdzie i kiedy będzie można zobaczyć i usłyszeć. Tak powstał „Kalejdoskop”.

Za mało papieru

Początkowo Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (było coś takiego, i miało bardzo rozległe uprawnienia) zgodził się na druk 3000 egzemplarzy, potem zdecydował, że nakład docelowy nie może być wyższy niż 6200 – żadna drukarnia nie odważyłaby się tego limitu przekroczyć. Nawet by nie mogła, bo GUKPPIW określił także dopuszczalną objętość pisma oraz format, a z tych parametrów wynikał przydział papieru na druk „Kalejdoskopu” (prawie zawsze zaniżony...).

Pismo co miesiąc rodziło się w wielkich bólach. Nie było kłopotów z częścią publicystyczną, bo – zwłaszcza od momentu, gdy redaktorem naczelnym został znakomity dziennikarz Jerzy Katarasiński – zamówione materiały od kolegów z innych redakcji spływały bez zakłóceń. Problemem było zdobywanie informacji repertuarowych.

Druk pisma trwał 20 dni i więcej, a więc materiały z instytucji kulturalnych redakcja musiała otrzymywać miesiąc wcześniej. Dla imprez odbywających się pod koniec miesiąca było to nawet 6-7 tygodni wyprzedzenia! Wtedy nikt tak wcześnie nie układał precyzyjnych repertuarów, „Kalejdoskop” musiał „wyrzywać” je niemal siłą.

Na szczęście partnerzy redakcji szybko uwierzyli, że warto się postarać, bo zakres oddziaływania „Kalejdoskopu” był ogromny, choć w pierwszym roku, gdy był sprzedawany tylko przez Ruch, zwroty sięgały nawet 1/3 nakładu. Niekiedy było to usprawiedliwione ogromnymi spóźnieniami druku: na przykład numer 11/1974 ukazał się dopiero 17 listopada, a 1/1975 – 21 stycznia! Powód? Prawdopodobnie zawiły jakieś pilne i nader ważne zlecenia okazjonalnych druków politycznych, które wypychały z kolejki wszystkie inne publikacje. Ale nikt się nam nie tłumaczył.

Nowy redaktor naczelny w kwietniu 1975 roku wprowadził „Kalejdoskop” do teatrów, gdzie był sprzedawany bardzo skutecznie: nie wracał ani jeden egzemplarz, a teatry ciągle wykłócały się o większy przydział. Poprawiły się także wyniki Ruchu i zwroty wynosiły zaledwie kilka-kilkadziesiąt egzemplarzy. Dziś każdy wydawca oddałby majątek za takie wyniki!

Teatr i krzyżówki

Tak dobre efekty dystrybucji były możliwe, bo „Kalejdoskop” został zaakceptowany przez czytelników. W pierwszym numerze w tekście „od redakcji” obiecywano im, że nowe pismo będzie pomagać w wyborze ciekawego spektaklu, filmu czy wystawy i „zachęcać do uczestnictwa w interesującym spo-

tkaniu”. Nie brakło deklaracji, że „Kalejdoskop” będzie upowszechniał „te tendencje i kierunki kultury, które posiadają istotny wpływ na kształtowanie socjalistycznej świadomości społecznej”. Cóż, takie były czasy.

Ale „Kalejdoskop” naprawdę pomagał rozróżnić się w tym, co w łódzkiej kulturze było interesujące. Systematycznie były omawiane sylwetki artystów, aktorów, kompozytorów. Z cyklu „jak? się to

lecz redakcja mieściła się w Łódzkim Domu Kultury. W pierwszym okresie pismo formalnie było redagowane przez kolegium, którego sekretarz (Bogusław Sikorski) w rzeczywistości pełnił funkcję redaktora naczelnego. Dostyć szybko zastąpił go Jerzy Katarasiński i prowadził pismo aż do stanu wojennego. Po numerze z datą „grudzień 1981” na-



robi” (taki był zapis tytułu cyklu) można było się dowiedzieć, czym zajmuje się filmowy konsultant muzyczny, a jakie obowiązki ma kierownik literacki w teatrze. Omawiano nowe książki i premiery teatralne. Ukazywały się notki poświęcone poszczególnym ulicom i ich patronom. Publikowano poezję i... krzyżówki, a na ostatniej stronie okładki czarno-białe akty kobiece, wykonane przez artystów fotografików (w czerwcu, z okazji Dnia Dziecka, ta „kobieta” miała zaledwie kilka miesięcy). Ciekawe treści były podawane w ciekawej formie, o co dbał Ryszard Kuba Grzybowski – autor koncepcji graficznej pisma i redaktor graficzny kolejnych numerów aż do 1981 roku. W późniejszym okresie na sześć lat przejął to Zbigniew Koszałkowski, potem pismo obywatelo się bez redaktora graficznego.

Wydawcą „Kalejdoskopu” był Wydział Kultury i Sztuki Prezydium Rady Narodowej Miasta Łodzi,

stąpiła pięcioletnia przerwa, „Kalejdoskop” został wznowiony dopiero w 1986 roku. Od ponownego uruchomienia pismem kierowali kolejno: Andrzej Wojciechowski, Zbigniew W. Nowak, Tomasz Bieszczad, Małgorzata Karbownik i – obecnie, jako p.o. naczelnego – Halina Bernat. Od dawna wydawcą jest Łódzki Dom Kultury.

Przez wszystkie te lata wiele się w „Kalejdoskopie” zmieniało: format, objętość, kolor, wysokość nakładu, zasięg. Był „Informatorem kulturalnym” albo „Przewodnikiem kulturalnym”, a nawet „Łódzkim Informatorem Kulturalnym i Turystycznym”, dziś ma podtytuł „Magazyn Kulturalny Łodzi i Województwa Łódzkiego” (i działa też jako portal internetowy na stronie www.e-kalejdoskop.pl). Wskazuje to na aktualny kierunek ekspansji pisma. *

* Łódzka dziennikarka, od pierwszego numeru związana z „Kalejdoskopem”

Gitara – mały kosmos

Mirosław Drożdżowski od 22 lat uczy gry na gitarze klasycznej. Wychował wielu laureatów prestiżowych konkursów. Mówi, że oprócz intuicji i doświadczenia pedagogicznego trzeba mieć szczęście, żeby trafić na utalentowaną osobę. Aby trochę szczęściu pomóc, pracuje w trzech szkołach muzycznych: w Piotrkowie Trybunalskim, Tomaszowie Mazowieckim i Bełchatowie.

Bogdan Sobieszek: – Mało się słyszy o wielkich gitarzystach klasycznych...

Mirosław Drożdżowski: – Bo to dyscyplina niszowa. Trzeba być wybitnym, żeby zostać zauważonym. W Polsce mamy kilku artystów, którzy koncertują po świecie – m.in. Marcin Dylla i Łukasz Kuropaczewski. Najwybitniejszy z moich uczniów, Piotr Przedbora z Tomaszowa ma bardzo duże szanse, żeby do nich dołączyć. 19-latek nagrał już płytę z poważnym repertuarem dla poważnej polskiej wytwórni Dux. To wyjątkowe osiągnięcie. Studiuje na pierwszym roku Uniwersytetu Muzycznego w Warszawie u prof. Marcina Zalewskiego i pobiera lekcje mistrzowskie w Paryżu, prowadzone przez Judicaela Perroya, artystę ze światowej czołówki gitarowej.

Jest pan dumny z sukcesów swoich podopiecznych?

– Sukces to wspólne dzieło ucznia, nauczyciela i rodzica. Jeśli rodzice nie są zainteresowani postępiami dziecka i nie słuchają na co dzień w domu, jak ono gra, to nic z tego nie wyjdzie. Ja tutaj dokładam tylko swoją cegiełkę. Śledzę losy moich uczniów. Mam bardzo dobry kontakt z Piotrkim Przedborą. Byłem przy nim, gdy nagrywał płytę. Wiem, że przygotowuje się do swoich najważniejszych w życiu konkursów m.in. w Stanach Zjednoczonych.

Jak rozpoznać talent?

– To widać już po kilku lekcjach. Pierwsza sprawa to muzykalność – dziecko ma wrażliwość na dźwięk, na barwę, na rytm. Druga – postawa przy instrumencie, ułożenie prawej i lewej ręki. Wystarczy kilka uwag i dziecko zapamiętuje, samo poprawia. Nieraz walczę z uczniami przez kilka lat, żeby

na przykład prosto siedzieli, i nie da rady. Jeśli słyszę, że wykonując dwugłosowy utwór, uczeń potrafi coś z niego wydobyć, potrafi „frazować” – czuje, co gra, wiem, że mam materiał na gitarzystę i śrubuję wymagania, cisnę. Sięgam po program wyższych klas.

Opanowanie gry na instrumencie wymaga wielu godzin ćwiczeń. To dla dziecka męka...

– Bywa, że mam do czynienia z naturalszczykiem, któremu wystarczy godzina grania dziennie, by osiągnąć sukces. Inni, równie zdolni, potrzebują dłuższego ćwiczenia. Coraz mniej jest pasjonatów, bo dziś mnóstwo rzeczy absorbuje uwagę młodego człowieka. Ale jednak są tacy, którzy grają z miłości do muzyki, poświęcając jej dużo czasu, i oni mają szczególne osiągnięcia. Moje dzieci też grają na gitarze – 13-letni Nikodem, 10-letni Jaś – obaj z sukcesami i 7-letnia Anitka, z którą niedawno byłem na pierwszym konkursie. Sam codziennie gram w domu, by nie stracić formy. Na gitarze klasycznej, ale i na elektrycznej. Z najstarszym synem. Mamy porządne instrumenty i wzmacniacze. Dajemy czasu w duecie.

Jest pan przecież nie tylko gitarzystą, ale i wokalistą o wysokim, mocnym rockowym głosie.

– Podczas studiów w Akademii Muzycznej w Łodzi spotkałem wielu ciekawych ludzi, z którymi śpiewałem w kapelach rockowych. Pierwszym moim zespołem był Fetus Achatuś, który założyliśmy z Pawłem Rurakiem-Sokalem, dzisiejszym liderem Blue Café. Później śpiewałem w legendarnym łódzkim zespole Anex.

Miroslaw Drożdżowski

Już jako bardzo młody człowiek musiał się pan utrzymywać z grania.

– Urodziłem się w Pabianicach, wychowywałem w Zelowie, w czasie studiów mieszkalem w Łaznowie pod Rokicininami u zaprzyjaźnionych osób, bo straciłem rodziców. Muzykowałem, żeby zarobić na chleb. Ciężko było. Dobrze, że Pan Bóg dał trochę talentu... W 1991 roku zacząłem pracę w szkole muzycznej w Zgierzu. Jednak muzyka rockowa wciąż jest mi bliska. Trochę głosu jeszcze mi zostało. Mam taką barwę „niemenowską” i lubię śpiewać w wysokich rejestrach. Ale udzielałem się też w poezji śpiewanej. Napisałem sporo utworów do tekstów piotrkowskiego poety Witolda Stawskiego. Wykonujemy je z zespołem Przeznaczenie, nagraliśmy dwie płyty. Brakuje jednak na to czasu, kiedy się pracuje w trzech szkołach.

No właśnie, wróćmy do pana pracy pedagogicznej... Czasem dziecko ma talent, a nie chce mu się ćwiczyć. Jak je pan mobilizuje, żeby nie zaprzepaściło swojej szansy?

– Najpierw proponuję różne utwory (także mojego autorstwa), aby znaleźć takie, które mu się spodoba i będzie je chętnie grało. Innym razem przy uczniu zapisuję jakieś dźwięki, gram je, powstaje szkic utworu. W domu go rozwijam i na następnych zajęciach wręczam mu kompozycję napisaną specjalnie dla niego. W ten sposób okazuję szacunek uczniowi i skłaniam go do zrewanżowania się podobną postawą wobec zajęć i swojego talentu.

Jakiego rodzaju muzykę na gitarę klasyczną pan komponuje?

– Staram się, by znalazły się w niej odwołania do współczesności, do tego, czym żyją młodzi ludzie, co ich fascynuje. Dlatego moje utwory często opierają się na bluesie, rocku, jazzie. Wydałem 22 albumy nutowe z własnymi kompozycjami lub opracowaniami utworów Chopina, Bacha, Händla czy Lutosławskiego w wydawnictwach polskich i zagranicznych. Do kilku dołączone są płyty z wykonaniami nagranych przez znanych w kraju gitarzystów. W sumie zbiorów z utworami na gitarę zebrało się już ponad 50. Często moje kompozycje umieszczane są w programach obowiązkowych na konkursach gitarowych, także międzynarodowych. Moja muzyka idzie w świat.

Ostatnio podjął się pan bardzo ambitnego zadania.

– Pracuję nad transkrypcją 19 pieśni Chopina. Odkrywam każdy dźwięk. Ludzie boją się grać Chopina na gitarze, by nie dopuścić się świętokradstwa. Oczywiście fortepian ma wielkie brzmienie i skalę, ale gitara jest takim małym kosmosem. Jeśli się dobrze te utwory opracuje, też mogą pięknie zabrzmieć. W oryginale mamy trzy pięciolinie – głos i fortepian. Przekładałem to na jedną pięciolinie faktury gitarowej. Dlatego wszystkiego nie da się w niej umieścić. Muszę zrezygnować z niektórych dźwięków. To już moja odpowiedzialność. Wybieram to, co jest dobre dla gitary. Spotkały mnie za to słowa krytyki, że „cenzuruję” Chopina, ale i słowa uznania. Między innymi w brytyjskim piśmie branżowym „Classical Guitar” gitarzysta i recenzent Chris Dumigan napisał, że jeszcze nie spotkał się z tak dobrymi opracowaniami. *

Spotkania i zderzenia

Aleksandra Talaga-Nowacka

Muzeum Sztuki wzbogaciło się w grudniu o kolejny ważny dar. To 67 prac 39 artystów, zbieranych przez Łódzkie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych od 2005 roku – kolekcja polskiej sztuki najaktualniejszej.

W gmachu przy ul. Więckowskiego można oglądać wiele z tych dzieł (tekst o powstawaniu kolekcji pt. „Zbiór – dar” – w styczniowym numerze „Kalejdoskopu” oraz na stronie e-kalejdoskop.pl). Autorzy (wśród nich łodzianie) to wyłącznie znani i cenieni artyści.

Kolekcja Zachęty jest zwarta i jednorodna. Skupiono się na dziełach korespondujących z tradycją, historią sztuki i takich, które odwołują się do cielesności, poszukiwania własnej tożsamości – te ostatnie wątki są dziś najaktualniejsze w związku z rozważaniami o gender, czyli społecznie uwarunkowanej płci. Na wystawie prace zestawiono tak, że wzbogacają nawzajem swój przekaz.

Na monitorach prezentowany jest performance duetu Sędzia Główny, gdzie dwie artystki ubrane w seksowne sukienki (a bez bielizny) na kłęczkach zlizują z podłogi rozbryzgany przez siebie płyn, przyjmując przy tym wyuzdane pozy. Oglądanie tego poniżenia boli. Wzrok z kobiety-obiektu, kochanki-sprzątaczką przenosimy bezpośrednio na powieszony obok fotograficzny kolaż Zofii Kulik z nagim mężczyzną wkomponowanym w ornament z pocisków – takie zderzenie sprawia, że te dwie prace zastępują setki stron rozpraw o postrzeganiu kobiecości i męskości we współczesnym świecie. Do tego mamy zdjęcia Jadwigi Sawickiej z cyklu „Ubrania”: na jednym męski garnitur, na drugim kobiece wdzianko, na trzecim srebrna sukienka lalki. W takie schematy jesteśmy wtłaczani od

chwili, gdy znana jest nasza biologiczna płeć – dziś na ogół jeszcze przed urodzeniem. Mężczyzna, przy nim żona, a z boku ta trzecia, lalka – kochanka-zabawka?

Problemy z tożsamością mają postaci z dzieł Konrada Kuzyszyna i Natalii LL. W obu przypadkach pojawia się podwójność, potrójność osobowości, zlewanie się w jedno lub rozpadanie się, „rozjeżdżanie”, kłopot z określeniem siebie. Skoro Natalia LL – to skojarzenie z jej słynnym bananem w ustach. I do tego skojarzenia nawiązuje Karol Radziszewski, każąc różnym osobom jeść banany przed kamerą. Jedne zwyczajnie konsumują owoc, inne reagują lubieżnością na jego falliczny kształt.

Szukanie siebie w konfrontacji z innymi ludźmi albo we własnym odbiciu to temat prac Zuzanny Janin (babcia, matka i córka mówią o swoich relacjach; pojawiają się określenia: „ciągłe ścieranie się”, „energie, które się zderzają, odbijają”) i Krzysztofa Bednarskiego (mężczyzna podskakuje i przytupuje, bacznie obserwując się w lustrze).

A co po życiu? Wieczne trwanie czy nicość? Martwa kobieta na obrazie Magdaleny Moskwy ma coś do zaferowania: w szklanej witrynie w jej ciele widać jakieś „narządy” – czy ich oddanie potrzebującemu przedłuży jej życie? Dominik Lejman raczej nie dostrzega szans na życie po życiu: na jego godzinnym filmie widać nagiego martwego mężczyznę leżącego stopami w kierunku widza, jak Chrystus z obrazu Andrei Mantegni. Na dole ekranu – odliczanie upływającego czasu. I nic się nie dzieje...

Wojciech Leder wyrzył na swoim dyptyku udającym marmurową płytę łacińskie słowa pisane starożytną czcionką: „Lacerta”, „Mors”, „Resurrectio”. Czy to nadzieja na zmartwychwstanie, czy – przeciwnie

– wieczne czekanie na obiecane zdarzenie, które może nigdy nie nastąpić?

Tymczasem w doczesnym życiu królujecie konsumpcjonizm (to, co zachodnich artystów bolało w latach 60. czy 70., nas dotknęło znacznie później). Anna Orlikowska dokumentuje obfitość towaru w sklepach, Wiktor Polak szuka wyciszenia: fotografuje puste billboardy w środku nocy, jakby przyłapanie na bezczynności, gdy nikt ich nie widzi.

Elżbieta Jabłońska dostrzega w codzienności tajemnicę. W sfotografowanych przez nią bogato umeblowanych salonikach zawsze coś jest nie tak: a to dywan podwinięty, a to stół przewrócony, a to talerzyki stłuczone. Czuć czyjąś obecność.

Spory fragment wystawy jest poświęcony zmaganiom z tradycją sztuki – przy czym nie są one znojem, a raczej dobrą zabawą. Przemysław Kwiek, awangardzista, maluje w ogrodzie bzy – realistycznie, jak się należy – i dokumentuje ten wyczyn. Łódź Kaliska nawiązuje do obrazu Alaina Jacqueta (z kolekcji Muzeum Sztuki), który nawiązuje do obrazu Édouarda Maneta „Śniadanie na trawie”. Łódzka grupa umiejscawia akcję w muzeum, co zabawę czyni jeszcze bardziej wielowarstwową: w muzeum wisi zdjęcie z rozgrywką się w muzeum, na tle obrazu Jacqueta nawiązującego do płótna Maneta, sceną z obrazu Maneta/Jacqueta. Uff.

Fotografia Tomasza Ciecierskiego, od której zaczęła się ta kolekcja, to kolaż zdjęć umywalek wypełnionych kolorową wodą. Taki abstrakcyjny obraz z jak najbardziej realistycznych przedstawień, zabawa formą, znaczeniem, pytanie o status ma-



„Śniadanie w muzeum”, praca Łodzi Kaliskiej

larstwa. Cezary Bodzianowski cierpliwie tłumaczy urzędnikom teorię widzenia Władysława Strzemińskiego (widok śmiertelnie znudzonej twarzy jednego z nich – bezcenny). Grzegorz Sztwiertnia wykonał dziecięce łóżeczko w barwach neoplastycznych, przy którym „ojcowie awangardy” wydają dziwne „pieszczące się” dźwięki. Paweł Susid „miłość między mężczyzną a kobietą” widzi jako konstruktywistyczną kompozycję w stylu El Lisickiego z dynamicznymi, agresywnymi formami.

Jako podsumowanie można potraktować białą instalację Stanisława Drózdza. Na półce „książki” z cyklu „Alea iacta est” – brakuje pierwszej. Leży poniżej, otwarta. A w niej – ulokowane ciasno obok siebie zdjęcia kostek do gry. „Kości zostały rzucone” – ktoś kiedyś stworzył pierwsze dzieło sztuki i teraz, chcąc nie chcąc, trzeba to kontynuować. A łatwo nie jest, bo, jak dowcipnie zauważa grupa Azorro – w sztuce wszystko już było... *

„Na zachętę do muzeum. Kolekcja Łódzkiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych”. Muzeum Sztuki ms¹; wystawa czynna do 2 marca

Mój film jeszcze nie powstał

Zbigniew Rybczyński – eksperymentator, artysta wizjoner, jedyny polski laureat Oscara za film – opowiada o swoim wielkim marzeniu: tworzeniu ruchomego obrazu składającego się z dowolnych elementów.

Nad realizacją tego marzenia pracuje od czasu studiów w Szkole Filmowej w Łodzi. Zbudował w Nowym Jorku swoje „studio idealne”. Rok temu rozpoczęło działalność stworzone przez niego we Wrocławiu Centrum Technologii Audiowizualnych. Podobno nie ma drugiego takiego na świecie. Jednak Rybczyński czuje się artystą nierozumianym. – Nikt nie chce mnie słuchać – narzeka. Może dlatego, że jego „badania” pochłaniają miliony dolarów, a efekty na razie niepewne i mało spektakularne. Może dlatego, że bezkompromisowy artysta nigdy nie znajdzie wspólnego języka z urzędnikami i politykami, którzy dzielą publiczne pieniądze. Skutek jest taki, że został przez nich oskarżony o nadużycia finansowe, a rozwój jego wrocławskiego studia stanął pod znakiem zapytania. Mimo tych przeciwności z pasją opowiadał o swojej wizji studentom Szkoły Filmowej w Łodzi.

Zbigniew Rybczyński:

Jesteśmy u progu nowej epoki tzw. rzeczywistości wirtualnej. Mówi się o tym od lat, ale naprawdę nie mamy jeszcze takiej technologii. Podstawą będzie obraz. Od wielu lat pracuję nad tym, by można było konstruować go z warstw. To jest to samo, co robi się z dźwiękiem, czyli nagrywanie wielościeżkowe. Natura dźwięku jest prosta – wystarczy synchronicznie odtwarzać poszczególne warstwy. Z obrazem jest dużo trudniej.

W szkole z kolegami w Warsztatu Formy Filmowej robiliśmy eksperymentalne filmy. „Kwadrat” – to

mój pierwszy film. Sfotografowałem z góry postać, która wykonuje różne ruchy na czarnym aksamicie. Umieściłem tę postać na tle kwadratu. Potem zacząłem dzielić go na coraz mniejsze równe pola. Kwadrat będący w obrębie postaci podświetlał się. Kiedy podział był już daleko posunięty, postać składała się z małych, podświetlonych kwadracików. Nie byłem świadomy, że gdzieś w Stanach Zjednoczonych naukowcy pracują w tym czasie nad czymś, co zrewolucjonizuje świat. Nad elektronicznym obrazem złożonym z małych kwadracików, czyli pikseli. Dziś myślę, że mój „Kwadrat” był równoległą koncepcją digitalnego obrazu.

Kiedy Dennis Ritchie tworzył język komputerowy, w 1978 r. byłem w Wiedniu i rysowałem swoje „Tango”. Ten film to gigantyczna operacja matematyczna. Każdy kadr był podzielony na wiele części i fotografowany wiele razy. Składałem obraz z wielu celuloidów nałożonych na siebie i tak klatka po klatce. Nauczyłem się sposobu myślenia podobnego jak przy pisaniu programów komputerowych. Kiedy przyjechałem do Ameryki w 1983 r., w wywiadzie dla „Interview Magazine” powiedziałem, że pojawi się nowa forma obrazu telewizyjnego, który będzie się składał nie z linii, a z pikseli. Wszyscy się wtedy ze mnie śmiali.

W Stanach – to był 1984, 1985 rok – zacząłem robić klipy muzyczne, bo wydawało mi się, że coś zaczyna się zmieniać w technikach wideo. Powstała wtedy stacja MTV, pojawiły się urządzenia komputerowe do realizacji obrazu. Były pieniądze na krót-



Zbigniew Rybczyński w „filmówce” w grudniu 2013 r.

Foto: BOGDAN SOBIESZEK

kie formy audiowizualne i możliwość natychmiastowej dystrybucji w telewizji. Zdałem sobie sprawę, że w technice wideo (inaczej niż w filmie na taśmie światłoczułej) można sterować obrazem, każdą jego klatką.

Zrobiłem eksperyment, który zmienił moje życie. To był teledysk zespołu Simple Minds. Na już nagrany materiał nakładałem kolejne nagranie tej samej postaci w dalszej fazie ruchu, potem kolejny raz i tak dalej. Umożliwiły mi to dwie maszyny wideo współpracujące tak, żeby nagrywany obraz nie zmywał poprzedniego. W „Tangu” musiałem wykonać kilkanaście tysięcy rysunków na celuloidach i wszystkie je odpowiednio spasować. Tutaj załatwiała mi to telewizja z nagraniem żywych postaci. Stwierdziłem, że tak należy robić filmy. Nagrywać je w wielu warstwach.

W 1986 roku poznałem technologię high definition, czyli obraz elektroniczny w jakości filmu na taśmie światłoczułej. Pierwszy test z wykorzystaniem high definition to był klip do „Imagine” Johna Lennona. Zacząłem pracować z blue screen – to była dla mnie jedyna metoda połączenia warstw. Robiłem w Luvrze film. Ustawilem jazdę w kształcie elipsy na całą salę. Nakręciłem ujęcia na wszystkie strony. Przyjechałem do swojego studia w Nowym Jorku. Wymyśliłem scenę obrotową – z jej ruchem zsynchronizowałem ruch kamery na wprost. Rezultat był taki, jakbym okrążył z kamerą tę scenę. To było pierwsze ujęcie mojego filmu „Orkiestra”. Mimo że patrzę kamerą w jednym kierunku,

na obrazie wykonałem jazdę 360 stopni. Zacząłem się interesować urządzeniami typu motion control, które George Lucas wprowadził w „Star Wars”. Kamery poruszają się dzięki silnikom, którymi sterują programy komputerowe.

Do filmu „Kafka” w 1991 r. zbudowałem swoje pierwsze uniwersalne urządzenie. Zmiana aksjomatu polegała na tym, że przyjęcie innej perspektywy patrzenia powoduje „zmianę” położenia przedmiotu w kadrze. W moim urządzeniu ruch na obrazie jest wypadkową trzech składowych: przybliżania się i oddalania kamery, panoramowania czyli ruchu na przykład z lewej na prawą oraz rotacji filmowanego świata (sceny) tak, aby obiekty widziane były z różnej strony.

Nigdy nie pisałem scenariuszy do swoich testów. Na planie improwizowałem. Myślę, że taka będzie przyszłość filmu. Usiądziemy w kilka osób – reżyser, operator, scenarzysta, kompozytor – i wszyscy na raz będą twórcami filmu. Umówimy się, że na początek chcemy mieć kobietę na pustyni i za chwilę zobaczymy to na ekranie. Chcemy muzykę i dźwięk – mamy to. Ale dalej – mówimy: niech za kobietą jedzie czołg. Robimy to. Dokładamy kolejną warstwę. Dlaczego nie mogliśmy konstruować obrazu z dowolnych elementów, takich jak rysunki, malarstwo, modele, rzeźby, obiekty, ludzie, zdjęcia zarejestrowane na rzeczywistym planie, no i oczywiście grafika komputerowa. Technologia daje nam wielką swobodę twórczą.

Nauczyłem się programowania, bo bez tego nic się nie zrobi. Ci, którzy nie potrafią programować, są współczesnymi analfabetami. Studio we Wrocławiu było dla mnie szansą na prowadzenie badań w dziedzinie grafiki komputerowej, motion control, optyki, transmisji, Internetu i programów do tworzenia obrazu przez komputer. To ogromny potencjał.

Wszystkie filmy, które zrobiłem, nazywam eksperymentami. Bo ja jeszcze swojego filmu nie zrealizowałem. Moim celem nadal jest nakręcenie własnego filmu i chociaż praca nad rozwiązywaniem problemów z tym związanych zajęła mi kilkadziesiąt lat, nie widzę w tym nic złego. *

Not. *Bogdan Sobieszek*



Piotr Orzechowski

ukończył fotografię na PWSFTViT. Od wielu lat związany z fotografią komercyjną i artystyczną. Z aparatem zjechał niemal cały świat. Obecnie mieszka i pracuje w Londynie. Interesuje go głównie portret, jednak dzięki dynamicznej osobowości świetnie odnajduje się również na innych polach. Jego prace możemy zobaczyć na stronie autorskiej www.piterhazelnut.com.



Chełmoński wśród Księżaków

Monika Nowakowska

Rok 2014 jest okazją do przypomnienia Polsce i światu naszych wybitnych rodaków: profesora Jana Karskiego (urodzonego sto lat temu), folklorysty Oskara Kolberga (urodzonego 200 lat temu), świętego Jana z Dukli (urodzonego 600 lat temu). Do tego zaszczytnego grona nieoficjalnie dołączył Józef Chełmoński, malarz realista i ilustrator, pejzażysta zakochany w egzotyce Ukrainy i Podola, przyrodzie Mazowsza i kulturze Księżaków łowickich. Przypadającą w tym roku setną rocznicę śmierci artysty uhonorować zamierza Łowicz.

Odwiedziłam to miasto, by dowiedzieć się, na jakim etapie są przygotowania do Roku Chełmońskiego i co mieszkańcy wiedzą o ważnym dla historii polskiej sztuki malarzu pochodzącym z ich stron. Wizytę zaczęłam od łowickiego muzeum, na którego fasadzie wejściowej znajduje się pamiątkowa tablica z 1934 roku z napisem: *W tym gmachu dawnej Powiatowej Szkoły Ogólnej kształcił się w latach 1862-1865 urodzony w Boczkach pod Łowiczem Józef Chełmoński 1849-1914, genialny malarz, potężny wyraziciel ducha polskiego w sztuce.* Tablica została ufundowana z okazji 20. rocznicy śmierci artysty, a powołany wówczas komitet zajął się także urządzeniem wystawy pamiątek po Chełmońskim, przyznaniem ustanowionego przez Radę Miejską stypendium im. Józefa Chełmońskiego i uroczystym otwarciem drogi imienia artysty, prowadzącej z Łowicza do Boczek.

Jakich atrakcji miłośnicy Chełmońskiego mogą spodziewać się w tym roku? – *Na początek chcemy zaktywizować dzieci i młodzież trzema konkursami: fotograficznym „Cztery pory roku”, na prezentację plastyczną lub multimedialną inspirowaną twórczością Chełmońskiego oraz konkursem wiedzy o naszym wybitnym krajanie, który nosił się „z księżacka” i podkreślał swoje łowickie pochodzenie – mówi Marzena Kozanecka-Zwierz, dyrektor Muzeum w Łowiczu. Rozstrzygnięcia – w kwietniu, miesiącu śmierci artysty, oraz w listopadzie, miesiącu jego urodzin.*

Muzeum jest także współorganizatorem, z warszawską Akademią Sztuk Pięknych oraz Muzeum Kresów i Lwowa w Kukłówce Radziejowickiej, Ogólnopolskiego Konkursu na Pejzaż im. Józefa Chełmońskiego, adresowanego do studentów i absolwentów wyższych uczelni artystycznych. W Łowiczu zostanie zorganizowana wystawa pokonkursowa. – *Mam świadomość, że miłośnicy twórczości Józefa Chełmońskiego chcieliby obejrzeć także jego oryginalne dzieła. Trzy prace pokazujemy na naszej odświeżonej po remoncie ekspozycji stałej. To: „Krajobraz z jeziorkiem w lesie”, nastrojowy pejzaż z około 1900 roku, który trafił do nas z Muzeum Polskiego w Rapperswilu, zakupiony niedawno rysunek dwustronny „Oberek” i „Bójka żebraków” oraz ekspresyjna akwarela „Bitwa pod...”, wykonana dla paryskiego magazynu „Le Monde Illustré” – depozyt Starostwa Powiatowego w Łowiczu.*



Muzeum w Łowiczu

Gdy placówka była oddziałem Muzeum Narodowego w Warszawie (do 1995 roku), w sali wystaw czasowych prezentowano obrazy Chełmońskiego z warszawskich zbiorów oraz z kolekcji rodziny artysty – dziś można je oglądać w Domu Pracy Twórczej w Radziejowicach. – *W miarę naszych skromnych możliwości staramy się kupować jego rysunki lub akwarele, ceny płócien zaczynają się bowiem od kilkudziesięciu tysięcy złotych* – mówi pani dyrektor. – *W tym kontekście cieszy fakt, że obrazy Chełmońskiego udostępniają nam kolekcjonerzy prywatni. Dzięki nim w kwietniu zaprezentujemy nostalgiczny pejzaż „Mgły poranne” – na wystawie zbiorowej malarstwa młodopolskiego, która przyjedzie do nas z Muzeum Miasta Łodzi, zaś w listopadzie „Jastrzębia nad błotnistą łąką”, również ze zbiorów prywatnych. Dodatkową atrakcją będzie prezentacja serii 30 widokówek ze zdjęciami prac artysty, wydanych w dwudziestolecie międzywojennym, okresie wielkiej popularności sztuki Chełmońskiego.*

Późnobarokowy, monumentalny budynek muzeum mieści się przy Starym Rynku, w sercu miasta. Z prawej strony wejścia głównego dobrze widoczna jest wspomniana tablica pamiątkowa. Czy przechodnie, mijając ją, zastanawiają się nad spuścizną krajana?

Gdy zapytuję o to przypadkowo napotkane oso-

by, okazuje się, że nazwisko malarza owszem, kojarzą, jednak niewiele poza tym. – *To polski artysta, on coś napisał, w Łowiczu jest szkoła jego imienia – dowiaduję się od nastoletniego Łukasza. – Ja chodzę do szkoły imienia Tadeusza Kościuszki, to bardziej o nim coś wiem.* Niestety, nie miałam szczęścia spotkać ucznia lub absolwenta I Liceum Ogólnokształcącego im. Józefa Chełmońskiego w Łowiczu, podobnie jak mieszkańca ulicy imienia artysty, którzy być może wiedzieliby coś więcej na temat jego życia lub nawet sztuki.

Bezradna jest ekspedientka z usytuowanego przy Starym Rynku sklepu Cepelii: kojarzy nazwisko, ale nic więcej. O artyście nie potrafią nic powiedzieć panie prowadzące sklep z pamiątkami z Łowicza, jedna z nich tłumaczy się nawałem pracy – jak tu mieć głowę do Chełmońskiego?

Sytuację ratuje pracownica Centrum Kultury, Turystyki i Promocji Ziemi Łowickiej, również mieszczącego się przy rynku. – *To był polski malarz, pochodził z podłowickich Boczek, tam jest dom jego rodzin, artysta jest wciąż ceniony na świecie, jego prace dobrze się sprzedają* – dowiaduję się od pani Martyny, pochodzącej z okolic Łowicza.

Może zatem mieszkańcy ziemi łowickiej wiedzą o Chełmońskim więcej niż łowiczanie – chociażby w jego rodzinnych Boczkach w gminie Kocierzew >

Południowy? Warto wyjaśnić, że przyrostek Chełmońskie jest nieoficjalny i wynika z lokalnego patriotyzmu, nazwę „Boczek Chełmoński” nosi natomiast lokalny ludowy Zespół Pieśni i Tańca.

W Boczkach wciąż znajduje się dwór, w którym wychowywał się przyszły artysta. Chełmońscy pochodzili z Małopolski, nie wiadomo, kiedy dokładnie osiedlili się w Łowickiem. Wiadomo natomiast,

klówki koło Grodziska Mazowieckiego, gdzie osiadł w 1891 roku i mieszkał do śmierci, coraz bardziej dziwacząc i popadając w religijny mistycyzm. W ostatnim okresie życia odwiedzał i Boczek, i Łowicz, podobno chciał nawet namalować obraz Matki Boskiej Częstochowskiej dla tamtejszej kolegiaty.

Obecny właściciel dworu w Boczkach kultuwy pamięć o malarzu, czego wyrazem są wielkoforma-



Józef Chełmoński „Krajobraz z jeziorkiem w lesie”, ok. 1900 r.

że dziadek Józefa był sekretarzem księcia Radziwiłła w pobliskim Nieborowie, a pod koniec życia kupił wspomniany majątek ziemski i prowadził go wspólnie z synem, Józefem Adamem, ojcem malarza. Co ciekawe, zdolności i zainteresowania artystyczne były w tej rodzinie dziedziczne, pewnie dlatego Chełmońscy nie potrafili dobrze gospodarzyć i w końcu stracili dwór w Boczkach.

Wcześniej jednak młody Józef odkrył urodę podłowickiej wsi, zachwyił się kulturą Księżaków i zakochał w mazowieckim pejzażu, który uwieczniał na swoich obrazach – już jako mieszkaniec Warszawy, Monachium, Paryża i na koniec Ku-

rowe reprodukcje dzieł Chełmońskiego zawieszono na ogrodzeniu i elewacji budynku, w podworskim parku odnowiony został zaś głąz dedykowany artyście. Dobrą okazją do odwiedzenia tego miejsca będzie rajd rowerowy szlakiem Chełmońskiego po ziemi łowickiej, jaki planuje zorganizować w czerwcu Centrum Kultury, Turystyki i Promocji Ziemi Łowickiej, także w ramach obchodów Roku Chełmońskiego.

Miejmy nadzieję, że to dopiero początek jubileuszowych atrakcji, w których organizację ma się włączyć Urząd Miejski w Łowiczu. Tradycja zobowiązuje.

Co dalej?

Halina Bernat, Jacek Lewkowski*

Łódzki Dom Kultury właśnie skończył 60 lat. Często jest to dobra okazja, by pochwalić się dokonaniami, podsumować dorobek czy zaprezentować osiągnięcia. Jednak zmieniająca się sytuacja społeczna, rodząca nowe potrzeby i wyzwania, skłania nas do jubileuszowych refleksji w innym duchu. Na szczęście „ełdek” jest wszystkim znany i nikogo nie trzeba dziś przekonywać, jaką rolę odgrywał w życiu miasta i województwa przez minione 60 lat.

Dziś stoi przed nowymi zadaniami, koniecznością pewnego przeformułowania swojej misji. I dodajmy – to nie kryzys ekonomiczny tworzy tę sytuację. Uważamy, że utrzymanie dotychczasowej formuły upowszechniania kultury realizowanej w ŁDK jest już pewnym anachronizmem. Nastawienie na współpracę z organizacjami pozarządowymi, które realizuje obecnie nasza instytucja, idzie w kierunku zwiększenia partycypacji w kulturze mieszkańców Łodzi i województwa. Ale wkrótce okaże się, że to za mało. Łódzki Dom Kultury – naszym zdaniem – powinien zbliżyć się do formuły „centrum aktywności lokalnej” w modelu brytyjskim community center.

Oczywiście ostateczna postać modelu, który za funkcjonuje w naszej instytucji, powinna być wypracowana w oparciu o potrzeby naszego odbiorcy. I tu już pojawia się jedno z wielu zagadnień, nad którymi trzeba się pochylić. Bo czy powinniśmy w ogóle używać określenia „odbiorca”, a nie „partycypant” lub „partner”. A jeśli tak, to czy wolno nam samodzielnie budować wizję? Mamy głębokie przekonanie o czekającym naszą instytucję nowym modelu działania. Na pewno nie można poprzestać na samozadowoleniu z tego, co już się osiągnęło.

Oczywiste jest, że wiele z doczasowych celów musi być kontynuowanych, gdyż żadna inna insty-

tucja kultury w naszym regionie nie może z natury rzeczy zastąpić w tym Łódzkiego Domu Kultury. Konieczne jest kontynuowanie roli koordynatora i inspiratora działań instytucji kultury na terenie województwa łódzkiego poprzez realizację wspólnych projektów teatralnych, filmowych, muzycznych, etnograficznych czy też dotyczących ochrony dziedzictwa kulturowego. Robiliśmy to przez 60 lat



i w kolejnych latach tych działań nie powinno zabraknąć. ŁDK odnalazł się również w roli integratora poszczególnych środowisk kulturalnych województwa łódzkiego, organizując konferencje, spotkania, szkolenia. Z tej roli również nie powinien zrezygnować. Wypracowany przez lata kapitał ludzki pozwala naszej instytucji myśleć o nowych wyzwaniach bez strachu o ich realizację.

Wchodząc w kolejną dekadę, pozostajemy przekonani, że sprostamy nowym wyzwaniom stojącym przed Łódzkim Domem Kultury. *

* zastępcy dyrektora Łódzkiego Domu Kultury

Budowanie widowni

Bogdan Sobieszek

To, że widz – czyli adresat działań instytucji kultury – jest najważniejszy, wydaje się oczywiste. Bo przecież jest on jedynym celem i powodem istnienia większości z nich. Zatem im więcej odwiedzających, tym lepiej – niezależnie od tego, czy propozycje określimy jako ambitne czy komercyjne. Racją bytu jest tu widownia, a więc: odbiorcy działań, goście, czytelnicy, słuchacze, widzowie, uczniowie, studenci, partnerzy i sponsorzy. Jak ich przyciągnąć? Tego instytucje kultury muszą się nauczyć, by przetrwać.

– *W Polsce nie ma wypracowanych metod skutecznego pozyskiwania publiczności, rozpoznawania i zaspokajania jej potrzeb, zachęcania do uczestnictwa w życiu kulturalnym – pod tym względem to dziewiczy teren, dlatego tu jestem* – mówi Paul Bogen, konsultant European Arts&Culture Management, popularyzator stosowanej od dziesięcioleci brytyjskiej metody audience development.

Bogen jest również ekspertem współpracującym z polską fundacją Impact, która od kilku lat zajmuje się wprowadzaniem do polskich organizacji działających w obszarze kultury standardów, strategii i metod pracy zgodnych z koncepcją audience development. Oczywiście pilotażowy etap wdrażania metody służył również skonfrontowaniu brytyjskich doświadczeń z polskimi realiami. Projekt rozwoju widowni „Sztuka dla widzów”, finansowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodo-

wego, obejmuje organizowanie spotkań otwartych i warsztatów oraz bezpośrednią, indywidualną pracę z kadrą wybranych instytucji lub organizacji kultury w czterech województwach – w tym w łódzkim. Ekspersi fundacji Impact pracowali z zespołami: Muzeum Miasta Łodzi, Świetlicy Krytyki Politycznej, Teatru Nowego, Teatru Pinokio.

– *Porównując liczbę uczestników warsztatów w Łodzi i w innych miastach, można powiedzieć, że zainteresowanie jest mniejsze – mówi Agata Etmannowicz z fundacji Impact. – Z drugiej strony można wyróżnić instytucje, które uczestniczą we wszystkich wydarzeniach przez nas organizowanych, starają się wprowadzać zmiany. Podstawowe wyzwanie w województwie łódzkim jest jednak takie samo jak we wszystkich innych: jak zaangażować w proces pracy z publicznością dyrektorów instytucji. Powinni oni nie tylko wyrażać poparcie, ale koordynować wszelkie zmiany, które tej pracy służą. To ciągle rzadkość.*

Koncepcja audience development polega na umieszczeniu publiczności w centrum wszelkich działań instytucji kultury, myślenia o jej misji i planach rozwoju. Ma wiele wspólnego z marketingiem, korzysta z jego narzędzi. Jednak język jest łagodniejszy, a cele nie ograniczają się do prostej „sprzedaży” wydarzeń kulturalnych. Chodzi przecież o zaktywizowanie ludzi, rozpoznanie, rozwijanie ich potrzeb i zainteresowań, świadome szukanie nowych odbiorców, ale i budowanie trwałych relacji

z dotychczasową publicznością, angażowanie jej we współtworzenie programu instytucji. Realizują się w ten sposób funkcje edukacyjne i partycypacyjne metody.

– Trzeba zabrać publiczność na wyprawę, sprawić, by ludzie przyszli i wyjść naprzeciw ich oczekiwaniom – mówiła Agata Etmanowicz podczas otwartych warsztatów audience development, odbywających się w siedzibie Łódzkiego Stowarzyszenia Inicjatyw Miejskich Topografie. – Wcale nie trzeba serwować komercji, żeby mieć widownię. Nie zawsze konieczny jest kompromis. Można poszukać grup odbiorców odpowiednich dla naszej propozycji.

Podstawą rozwoju widowni są badania: kto do nas przychodzi? Co mu się u nas podoba, a co nie? Kto do nas nie przychodzi i dlaczego? Co zmienić, żeby odwiedzający nas bywali tu częściej? Które z naszych propozycji mogłyby zainteresować nowych odbiorców albo co nowego zaproponować, żeby ich przyciągnąć? Najważniejsze to dobrze znać i rozumieć swoją publiczność. Ale tak naprawdę należy zacząć od sformułowania misji instytucji: Kim jesteśmy, dokąd zmierzamy? Na te pytania musi sobie odpowiedzieć cały zespół, a o wspólnych ustaleniach trzeba pamiętać przy planowaniu wszelkich działań na co dzień. Tate Galleries w Londynie mają na przykład taką misję: „informowanie, edukowanie i uświadamianie ludzi w kwestii sztuki”.

Na stronie rozwojwidowni.pl zamieszczono wideo z wypowiedziami m.in. Marca Sandsa, dyrektora ds. publiczności i mediów Tate Galleries: – *Rozmawiamy o misji cały czas. Każdy ją zna, każdy o niej mówi i dzięki niej każdy wie, co ma robić. To właśnie misja organizacji uzasadnia i inspirowa rozwój wszystkich akcji i sposobów działania.*

Każdy powinien znać i akceptować misję swojej instytucji. Każdy też bierze odpowiedzialność za budowanie odpowiednich relacji z publicznością. Nie tylko dyrektor, specjalista ds. promocji czy biuro obsługi widzów – wszyscy pracownicy, a przede wszystkim często niedoceniane tzw. osoby pierwszego kontaktu: portier, kasjerka, barman, sekretarka, osoba pilnująca wystaw, sprzątaczką. Widz od samego wejścia powinien czuć się jak w domu, miło

przyjęty i „zaopiekowany”. Wszystkie małe rzeczy mają znaczenie, nawet „marketing zapachowy”. Pierwszy pozytywny kontakt czyni cuda. Przecież gośćmi są urzędnicy, potencjalni sponsorzy, dziennikarze, ich dzieci, znajomi.

– Opinie pójdą w świat – mówi Agata Etmanowicz. – Niezadowoleni powiedzą o tym dziesięciu osobom, zadowoleni – tylko pięciu. Jeśli oczywiście zajdzie „efekt wow!” („było bardzo fajnie”). Przyciągnięcie nowych widzów jest pięć razy droższe niż zatrzymanie obecnych. Choćby dlatego trzeba publiczność szanować. I zbierać dane na jej temat.

W kontaktach z publicznością ważną rolę pełnią kanały komunikacji dobierane zgodnie z charakterystyką grupy odbiorców. Najpopularniejsze z nich to strona internetowa instytucji (pierwszy kontakt widza jeszcze przed wyjściem z domu) oraz portale społecznościowe: Facebook i Twitter. Witryna nie tylko informuje o programie i reklamuje nowe propozycje, np. zniżkowe bilety dla rodzin. Na stronie filharmonii czy opery może się znaleźć specjalny poradnik dla osób, które wybierają się pierwszy raz na koncert i obawiają się, czy będą umiały się znaleźć w tej sytuacji.

– Trochę dzięki „naturalnej selekcji” w Łodzi wyłoniły się organizacje, a właściwie ich przedstawiciele, którzy wkładają dużo wysiłku w zmianę sposobu pracy z publicznością i właśnie z tymi organizacjami zamierzamy pracować indywidualnie w 2014 roku. Będziemy je wspierać w budowaniu „skrojonych na miarę” strategii rozwoju widowni – zapowiada Agata Etmanowicz.

Jak podkreślają eksperci, audience development nie jest zestawem uniwersalnych recept. To długofalowy proces działań promocyjno-marketingowych wynikających bezpośrednio z misji instytucji i opierających się na wypracowanym indywidualnie dla każdego podmiotu planie rozwoju. Uczestnicy szkoleń twierdzą, że zostają po nich z głową pełną pytań i dopiero po jakimś czasie znajdują swoje odpowiedzi. Inni mówią o wymiernych efektach zastosowania nowych metod pracy z publicznością. Warunkiem sukcesu na pewno jest to, że trzeba najpierw chcieć się zmienić. *

Kot, pies i ławeczka

Piotr Grobliński

O zapchlonym substytucie macierzyństwa, o sterylnie urządzonych kuchniach i sterylnym życiu, o poszukiwaniu i odnajdywaniu siebie – Michał Rzepka zrobił spektakl, który diagnozuje problemy współczesnego człowieka. „Febe wróć” możemy zobaczyć w teatrze Arterion przy Pomorskiej 69/71.

Była tu już siedziba Patio TV i firmowanej przez Małgorzatę Potocką szkoły wokalnno-aktorskiej. Obecnie w odnowionej fabryce mieści się inkubator technologiczny, który ułatwia start firmom z branży nowych technologii, a także Scena Arterion – prywatny teatr, który działa od 2012 roku.

Jednak pierwsze premiery doszły do skutku dopiero w roku ubiegłym. Najpierw Bartłomiej Nowosielski wyreżyserował „Związek otwarty” Dario Fo (zagraли Ewelina Kudeń i Daniel Misiewicz). Następnie Marek Kasprzyk wziął na warsztat „Próby” Bogusława Schaeffera z Mileną Lisiecką, Ewelina Kudeń, Michałem Krukiem i Bartłomiejem Nowosielskim. Jak widać, występują tu aktorzy scen łódzkich i warszawskich, którzy w niezależnych produkcjach szukają nowych wyzwań. W grudniu teatr zaprosił na premierę sztuki Michaela Gowa „Febe wróć”.

Momentami dowcipne, momentami ciepłe przedstawienie bezlitośnie stawia przed nami lustro, w którym możemy zobaczyć średnio udane życie klasy średniej. Bo choć akcja rozgrywa się w bliżej nieokreślonym mieście anglojęzycznego świata, pokazane mechanizmy wydają się uniwersalne.

Helen (Malwina Irek) i Frazer (Gracjan Kielar) są parą trzydziestolatków, którzy mieszkają w starannie zaprojektowanym domu i próbują urządzić swoje życie z równą starannością. Codziennie ćwiczą jakąś uproszczoną wschodnią gimnastykę, roz-

mawiają głównie o kłopotach w pracy (ona projektuje wnętrze, on pracuje w reklamie) i – o ile nie są zmęczeni – uprawiają seks, tak jak się uprawia bazylię na kuchennym parapecie: nie jest to sprawa życia i śmierci, raczej modny i zdrowy sposób spędzania czasu...

Gdy po raz pierwszy zapala się światło, z rozłożonymi rękami przywierają do ceglanej ściany swego designerskiego salonu. Spłaszczenie sylwetek to wizualna metafora ich życia. Takich metafor jest w inscenizacji więcej, dzięki czemu wychodzimy poza odegranie dziennika neurotycznej pary.

Pokazaną w kilku epizodach zabawę psuje naszym bohaterom telefon od przyjaciółki, odebrany nieopacznie podczas kotłowania na trawiastym dywanie. Zawiązanie akcji tuż po rozwiązaniu krawata. Przyjaciółka chce im podrzucić na tydzień suczkę o imieniu Febe, gdyż wyjeżdża właśnie na tygodniową terapię dla małżeństw. Frazer, początkowo wkurzony nowym kłopotem, postanawia stawić mu czoło i wszystko metodycznie zorganizować.

Domowym teatrem zarządza Frazer, teatrem przy Pomorskiej zarządza (i zdobywa pieniądze na kolejne spektakle) Grupa Inicjatywna „Arterion”, czyli aktorzy, reżyserzy i menedżerka przedsięwzięcia Monika Frąszczak. Jest ona jednocześnie prezesem Fundacji Wspierania Przedsiębiorczości i Nauki, która udostępnia teatrowi pomieszczenia i infrastrukturę. Pani Monika jest zresztą w teatrze prawie wszystkim – producentką, specjalistką od PR, jednoosobowym biurem organizacji widowni. Pomagają wolontariusze – oprócz aktorów i reżyserów wszyscy pracują tu społecznie.

Frazer zaczyna od zakazu wpuszczania psa do domu, ale gdy pada deszcz, sam łamie wprowadzo-

ne zasady. Bo pies, nieoczekiwanie dla samej pary, zmienia ich życie. Chodząc na spacer, nawiązują znajomości, uczą się obserwować i reagować spontanicznie, uczą się okazywania uczuć. Trochę ze sobą rywalizują, kto lepiej wejdzie w nową rolę, ale są w tym bardziej prawdziwi, naturalni. Zaczynają nawet żartować, jak w scenie, w której Helen zakłada Frazerowi smycz na głowę. Świetna jest też rozmowa o psie, podczas której zaczynają się obwąchiwać, poszczekiwać i niespokojnie kręcić całym ciałem.

Grupa Inicjatywna to taki kolegiálny dyrektor artystyczny – zgłaszane propozycje są wspólnie omawiane i głosami większości akceptowane (bądź odrzucane). Dlatego

w repertuarze pod koniec lutego znajdzie się „Edukacja Rity” w reżyserii Marka Kasprzyka z Ewelina Kudeń i Andrzejem Wichrowskim w rolach głównych. W przygotowaniu jest też „Ławeczka” Aleksandra Gelmana.

Po paru dniach suka ucieka gdzieś przez otwarte na chwilę drzwi. Trochę ze strachu przed gniewem przyjaciół, a trochę z tęsknoty za psem, Helen i Frazer rozpoczynają poszukiwania. Pozbawieni zastępczego dziecka rozwieszają ulotki i przesiąknięte swoim zapachem ubrania, odwiedzają najdziwniejsze miejsca, wplątują się w dziwaczne historie, tracą masę czasu i pieniędzy. Przebieg poszukiwań relacjonują sobie w domu, coraz bardziej ekspresyjnie odgrywając opisywane sytuacje. Mamy więc inscenizację kłótni w firmie Frazera i erotyczny taniec Helen, który wykonała jakoby w wietnamskiej restauracji. Erotyczny wątek twórczo rozwija Frazer, zwabiony do cudzego domu telefonem kobiety, która podobno widziała ich psa.

Nie widziała, ale słyszała. I nie psa, ale kota... publiczność poprzedniego spektaklu Sceny Arterion. W „Próbach” kot miał w pewnym momencie zamiauczeć. Koty jednak miauczą własnymi drogami, czasami za wcześniej lub za późno – to dodatkowa sytuacja do ogrania przez zespół aktorów, którzy



„Febe wróć” na Scenie Arterion

Foto: PHOTOSHOT PAWEŁ CIEŚLAK

i tak nie do końca chyba wiedzą, czy ich partnerzy grają (aktorów wystawiających inny próbowany spektakl), czy wychodzą z roli, by grać prywatność aktorów. Na próbach teatr w teatrze podniesiony był do kwadratu, co mogło zmylić kota...

Na szczęście odnalazł się pies. Końcowy fragment to kolejna zmiana tonacji, tym razem w kierunku poetyckiej liryczności. Bohaterowie odkrywają smak prawdziwego życia, które wcale nie toczy się pod dyktando pseudopsychologicznych recept. Spontaniczny, wierny, szczerzy pies może nam to uświadomić. Sztucznie konstruowany świat bez konfliktu, bez odpowiedzialności, bez refleksji zostaje rozsadzony od wewnątrz. Podobno niektórzy widzowie następnego dnia odwiedzali schronisko przy Marmurowej...

Do tej pory w Arterionie zagrano ponad 20 przedstawień. Bilety na następne można rezerwować telefonicznie lub mailowo, a odbierać bezpośrednio przed spektaklami. *

Łódź story

Magdalena Sasin

Bohaterem tego przedstawienia jest miasto – robotnicza i współczesna Łódź – a losy wybranych mieszkańców to zaledwie pretekst, by o nim opowiadać. Paradoksalnie jednak odtwórcy głównych ról spisują się wspaniale, a historia o mieście tu i ówdzie kuleje.

Musical operowy *Łódź story* napisał Włodzimierz Korcz, urodzony i wykształcony w Łodzi kompozytor, twórca wielu przebojów (m.in. *Być kobietą*, *Gdzie ci mężczyźni*, *Żeby Polska była Polską*). Spektakl, stworzony na zamówienie łódzkiej Akademii Muzycznej, miał premierę na nowej scenie uczelni przy ul. Żubardzkiej. Autorką libretta jest krakowska poetka Monika Partyk, która wcześniej współpracowała już z Korczem przy innych muzycznych przedsięwzięciach. Reżyserowania podjęła się Beata Redo-Dobber.

Akcja przedstawienia toczy się na początku ubiegłego wieku, by w drugiej części przenieść się do współczesności. Młody Karol Poznański, syn potentata bawełny Izraela (w tej roli Mikołaj Trąbka), rozkochuje w sobie ubogą tkaczkę (Aleksandra Borkiewicz). Jednocześnie śledzimy uczucie rodzące się między pracującą dla konkurencyjnych zakładów Scheiblera Magdą (Małgorzata Pietrzykowska) a bratem Ewy, Witkiem (Przemysław Baiński). Sto lat później Karol jest inwestorem budowlanym, a Ewa jego sekretarką. Ich beztrojski romans komplikuje nieplanowana ciąża.

Banalność historii podkreśla naszpikowanie tekstu encyklopedycznymi informacjami o Łodzi. Niekorzystne wrażenie sprawia zwłaszcza promocja współczesnych inwestycji w drugim akcie, która w połączeniu z projekcjami filmowymi odbiera dialogom naturalność.

Ponieważ scena przy ul. Żubardzkiej nie ma kulis ani zaplecza technicznego, które pozwalałyby na ustawienie dekoracji, zdecydowano się na wykorzystanie projekcji filmowych i zbudowanie wrażenia filmu w teatrze, a teatru w filmie. Na ekranie w niektórych scenach można było oglądać budynki, o których rozmawiali bohaterowie, w innych – zbliżenia pełnych emocji twarzy aktorów. Niestety, były też nietrafione pomysły wizualne. Efekt komiczny wywołała quasi-reklama Portu Łódź oraz planowanego centrum przesiadkowego na trasie W-Z, w scenie tańca dziewczyny z secesyjnego witraża zabrakło elegancji i wyrafinowania.

Zdecydowanie najmocniejszą stroną przedstawienia byli młodzi artyści. Zarówno oni, jak i orkiestra znakomicie odnaleźli się w nowej, operowo-musicalowej konwencji, udowadniając, że dysponują dużym potencjałem. Świeży, czysty głos Aleksandry Borkiewicz był pełen emocji, w warstwie aktorskiej można jej doradzić unikanie przesadnej egzaltacji. Dojrzała aktorsko, choć nie zawsze niezawodna intonacyjnie była natomiast Małgorzata Pietrzykowska. Panowie także zasługują na komplementy, a najtrudniejsza aktorsko – i mimo to świetnie zagrana – wydaje się rola Filozofa (Jan Szurgot). Dobrze spisała się orkiestra pod batutą Michała Kocimskiego, prezentując brzmienie pełne i wyrównane, choć proporcje nagłośnienia utrudniały muzykom utrzymanie równowagi między zespołami i sprawiały, że śpiewacy nie mogli „przebić się” ze swoim tekstem. Uznanie należy się też pozostałym zespołom: akademickiemu chórowi i tancerzom – studentom specjalności choreografia i rytmika (którzy wszak nie kształcą się na artystów baletu).

Muzyka Włodzimierza Korcza, wbrew oczekiwa-



„Łódź story”

Foto: DARIUSZ KULESZA

niom niektórych słuchaczy, jest czymś innym niż cyklem przebojowych piosenek. Mało którą melodię można zanucić pod nosem, ale słucha się ich z zainteresowaniem. Poszczególne fragmenty, choć spina je rozpoznawalny styl Korcza, są zróżnicowane i tworzą partyturę eklektyczną niczym łódzka architektura. Piosenka *Jak anioł dziewczynki* to pastisz hejnałowej *Prząśniczki*, wyraźne cechy musicalowe ma song *Chcę się bawić* o szerokim rysunku melodii. Pełen dramatycznego liryzmu jest utwór *Tka mi się, tka wstążeczka* (tu pokłony dla odtwórczyni roli Szalonej, Natalii Piechowiak), kapitalnym neoklasycznym menuetem jest *Łódzki Luwr*. W pamięci pozostaje też piosenka ze „współczesnego” aktu pt.

Ciuch, która z warstwą choreograficzną i filmową tworzy świetną i świadomie grającą kiczem całość.

Wychodząc z przedstawienia, najbardziej żałowałam jednego: że nie dowiem się, jak *Łódź story* odbierać będą widzowie za sto i za dwieście lat.

Musical operowy *Łódź story*. Kompozytor: Włodzimierz Korcz, libretto: Monika Partyk. Reżyseria: Beata Redo-Dobber, kierownictwo muzyczne: Michał Kocimski. Prapremiera w sali koncertowej Akademii Muzycznej w Łodzi 14 grudnia 2013 r. *

Recenzje Janusza Janysta i Dariusza Drewnicza na stronie e-kalejdoskop.pl.

Kreskówka

Magdalena Sasin

Gdy nieżyjący kompozytor ożywa i puszcza do nas oko w uwerturze do swojej opery, nie mamy wątpliwości, że dalsza część przedstawienia będzie dowcipna i zaskakująca. Taki właśnie jest „Cyrulik sewilski”, pokazany w Teatrze Wielkim w Łodzi.

To świetna propozycja na karnawał – pozwala cieszyć się muzyką i teatrem, nie zmuszając do trudnych przemyśleń. Realizatorzy (spektakl wyreżyserowała Natalia Babińska, scenografia jest dziełem Diany Marszałek, a pyszne kostiumy – Julii Skrzyneckiej) mieli znakomity pomysł na współczesnienie niemal dwustuletniego dzieła Gioacchina Rossiniego tak, by jednocześnie nie przybliżyć go do realnego świata. Stało się to możliwe dzięki przyjęciu konwencji Disneyowskiej kreskówki. Na scenie użyto tylko trzech kolorów podstawowych – żółtego, czerwonego i niebieskiego – oraz bieli i czerni.

Jednolitość barwna i wyrazistość graficzna postaci sprawia, że wydają się dwuwymiarowe, niczym z teatrzyku cieni. To wrażenie potęgują artyści baletu, którzy jako czarne cienie w niektórych scenach dublują głównych bohaterów. Podobny charakter mają rekwizyty: płaskie kształty roweru, lodów albo kieliszków nie udają prawdziwych, są naturalne i przekonujące w swej sztuczności. Efekt komiczny wywołują chórzyci z niby-karabinami, ogromna kłódka, którą Bartolo odgradza Rozynę od zalotników... Śmiesznych momentów nie brakuje.

Najlepsza nawet inscenizacja nie zdoła jednak umniejszyć znaczenia muzyki w teatrze operowym. O tym, że partytura Rossiniego jest piękna, lekka, dowcipna, nie trzeba nikogo przekonywać. Niestety, jej wykonanie podczas premiery nie dorównywało warstwie wizualnej dzieła. Orkiestra momentami grała nie dość precyzyjnie, tu i ówdzie zabrakło pełni brzmienia, gdzie indziej – finezji w wykonaniu



Foto: JOANNA MIKASZEWSKA

szczegółów. Od dyrygenta Eraldo Salmieriego (od grudnia kierownika muzycznego Teatru Wielkiego) można oczekiwać większej dbałości o tempa i spójność brzmienia poszczególnych grup wykonawców. Także chórzyci od strony wokalne swego występu nie mogą zaliczyć do udanych.

Wśród solistów niekwestionowanym liderem był Tomasz Rak jako tytułowy golibroda. Młody artysta, związany z Warszawską Operą Kameralną, dysponuje dźwięcznym barytonem, któremu potrafi nadać wiele barw i nastrojów. Jest też świetny aktorsko. W porównaniu z Rakiem blado wypadł występujący gościnnie Leonardo Ferrando (hrabia Almaviva) – jego głos wydawał się nie dość nośny i przestrzenny.

Nazwisko Bernadetty Grabias to gwarancja wykonania na wysokim poziomie. „Cyrulik...” to potwierdził, choć można by życzyć sobie lepszego wyrównania wokalnych rejestrów. Aktorsko natomiast zaprezentowała się wyśmienicie. Publiczność bawił znakomity w zadaniach komediowych Grzegorz Szostak jako doktor Bartolo, nie można też nie wspomnieć o Patrycji Krzeszowskiej, która niewielką rolę Berty potrafiła przedstawić tak, że stała się godna zapamiętania.

Brawa należą się młodej reżyserce Natalii Babińskiej. *

„Cyrulik sewilski” G. Rossiniego. Teatr Wielki w Łodzi.

W Sali Kontaktów Międzyplanetarnych



Maciej Cholewiński

Byłem świadkiem powstawania wystawy. Wszędzie rozłożone były elementy z drewna, żelaza, gwoździe i futro. Czulem się trochę jak Dan Wilmot z Roswell, który – jak wieść niesie – „2 lipca 1947 roku (...), siedząc na tarasie swojego domu, zauważył duży jarzący się przedmiot, który (...) przeleciał w kierunku północno-zachodnim”, a potem znalazł dziwne szczątki, które należały do pojazdu wyprodukowanego na pewno nie na Ziemi.

Moją uwagę zwróciła walizka. Na wierzchu naklejki, malunki. W tej walizce mieścił się cały wszechświat... Ścisłej mówiąc, klucze do wszechświata, części do urządzeń, dzięki którym możliwe jest nawiązanie kontaktu z czymś, z czym kontakt nawiązać niełatwo.

Dziś usiłuję sobie przypomnieć, co dokładnie w walizce zobaczyłem: szablony, deski, śruby? Puszki z farbą, torebki z pigmentami? Na pewno nie było tam żadnego komputera, klawiatur, nawet kabli. Wyglądało to ubożuchno – jeśli przypomnieć sobie pełne ekranów sklepy z elektroniką, te świątynie nowoczesności i postępu. Dlaczego to porównanie wydaje mi się tak ważne? Ano dlatego, że z tak niezaawansowanych technologicznie elementów można zbudować wehikuł do podróży w czasie, a przynajmniej po zmyślonej i prawdopodobnie nieistniejącej przestrzeni... Stworzył ją i wciąż poszerza Egon Fietke, czyli Andrzej Miastkowski, łódzki artysta, obecnie główna postać Wspólnoty Leeceź.

Spotkanie ze Wspólnotą jest dla mnie zawsze ciekawym doświadczeniem, bliskim niespodziewanemu kontaktowi z jakimś plemieniem z niedostępnych gór i lasów, pełnym lęku, ale i szacunku dla

nieznanego, wyglądającym znaków. Wspólnota Leeceź jest takim plemieniem – ma swoje tarcze, dziudy, ogień, barwniki do malowania twarzy, proch do mandali, mity i legendy, o których opowiada, malując na ścianach miejskich jaskiń całe bestiarium. Opowieść Wspólnoty jest jednak zawsze podszyta humorem o trudnym do zdefiniowania kolorze i nigdy nie ma się pewności, czy przypadkiem ktoś tu sobie z kogoś nie stroi żartów.

I tak, Wspólnota Leeceź w maleńkiej Galerii Re: Medium przy ul. Piotrkowskiej 113 zorganizowała „Salę Kontaktów Międzyplanetarnych”, w której umieściła prototypy urządzeń mających wspomóc umysł człowieka w kontakcie z cywilizacjami pozaziemskimi, a mianowicie: „Stymulator fal teta”, „Integrator poziomów świadomości”, „Skaner emocji osób wchodzących”, „Kooperator Mózgowych Półkul”. Genialny autor zaznaczył jednak, że urządzenia w zasadzie nie działają, ale „istnieją obecnie jako rodzaj zewnętrznej obudowy dla przyszłych mechanizmów”. Widział też potrzebę istnienia sal jako „punktów informacyjnych”. To wariant miejski. Dodał potem, że wariant podwodny sal „służyłby nawiązywaniu komunikacji z delfinami, wielorybami, orkami i morświnami, itp.” I przytomnie zauważył, że sztuka zawsze była przestrzenią, w której rodziły się wizjonerskie pomysły, jak np. maszyny latające Leonarda da Vinci. Kto wie? Możliwe, że „Integrator poziomów świadomości” totem świecący ultrafioletem, niedługo pojawi się w sprzedaży w „sklepie nie dla idiotów”... Wtedy wszyscy, którzy sceptycznie podchodzą do sztuki Wspólnoty Leeceź, będą musieli szczekać pod stołem. *

Lekcja emocji

Bogdan Sobieszek

Licealiści pytali: – *Dlaczego aktorka się rozebrała? Co znaczył ten czerwony sznurek rozwieszony w poprzek sceny? A białe szmaty, którymi aktorzy się obwiązywali? Dlaczego się pan nadstawił, żeby ktoś pana klepnął w tyłek?*

Pytali w Bełchatowie po obejrzeniu spektaklu, zachęceni przez reżyserów i aktorów. Czy na taką dyskusję liczyli twórcy przedstawienia „Dictat”? Pracowali nad nim 18 miesięcy. Na tyle bowiem obliczono międzynarodowy projekt artystyczny – stworzenie widowiska teatralnego, które spróbuje zmierzyć się z tematem dyktatury, wykorzystując doświadczenia czterech krajów partnerskich – Włoch, Hiszpanii, Rumunii i Polski. Projekt, który za pośrednictwem sztuk wizualnych miał budzić świadomość historyczną Europejczyków. Stronę polską reprezentowało Miejskie Centrum Kultury w Bełchatowie. Koszt spektaklu – blisko 317 tys. euro – został w połowie pokryty przez Unię.

Dwóch aktorów i reżyser z każdego kraju analizowali to, co wydarzyło się w ostatnich 80 latach, jaką formę przybierały dyktatury, co było dla nich wspólne. Artyści razem wymyślili spektakl, który miał przemówić do Włochów, Hiszpanów, Rumunów i Polaków. Miał stanowić rodzaj międzykulturowego dialogu. Praca rozpoczęła się 1 lipca 2012 roku. Pierwsza premiera odbyła się we wrześniu 2013 w Mantui. Potem przedstawienie oglądali widzowie w Grenadzie i Bukareszcie. Na koniec, w okresie obchodów rocznicy wprowadzenia stanu wojennego, trafiło do Bełchatowa.

Zanim jeszcze publiczność ujrzała efekt pracy, Flavio Cortellazzi z Teatro Magro w Mantui, lider projektu, mówił: – *To bardzo symboliczny spektakl, ak-*

torzy posługują się narodowymi językami. Staraliśmy się stworzyć uniwersalny przekaz, bo wszystko obraca się wokół idei dyktatury, we wszystkich jej możliwych obliczach – dyktatury nie tylko politycznej, ale także tej, której doświadczamy na co dzień.

– *Nasze przedsięwzięcie to nowy sposób pokazywania historii – „przez dotyk”, na zasadzie interakcji – mówił Radosław Garncarek, pochodzący z Bełchatowa aktor, performer i reżyser, absolwent Szkoły Filmowej w Łodzi. – *Próbujemy powiedzieć młodemu pokoleniu, co nas boli, nie tylko historycznie, ale i współcześnie. Usiłujemy przekazać pewne wartości, bo historia tworzy się tu i teraz.**

Pierwszymi widzami spektaklu „Dictat” byli bełchatowscy licealiści – główni adresaci artystycznego komunikatu. Ich reakcje najlepiej świadczyły o tym, jak trudne zadanie postawili sobie autorzy i wykonawcy. Jak środkami teatru awangardowego opowiedzieć o rzeczywistości historycznej czterech krajów? Czego z symbolicznych obrazów, gestów, działań, sentencji wyświetlanych na ekranie młody bełchatowianin mógł dowiedzieć się o realiach dyktatury Mussoliniego lub Franco? Czego dowiedział się młody mieszkaniec Grenady o stanie wojennym w Polsce? Mniej niż niewiele. Ten przejmujący spektakl to lekcja emocji, uniwersalnych wartości, złożonej natury człowieka, sił targających ludzkim losem, pułapek i zagrożeń. Nie lekcja historii.

Dla mnie była to opowieść o ludziach zniewolonych przez strach, bezkrytyczny podziw dla idoli, biedę, o ludziach, którzy stali się posłusznymi narzędziami. Zobaczyłem podzielony świat, zakłamanie, nienawiść i pogardę, zobaczyłem samotność i śmierć. Skwierczący na grillu stek, do które-

go przepychają się, tratuując nawzajem. Wykonywane zbiorowo jak na komendę ruchu. Klaskający, bo inni klaszczą, poddani rozkazom, zapatrzeni w portret dyktatora, pochyleni strachliwie nad miską strawy, stojący po dwóch stronach cienkiej czaronej linii, pochłonięci szalonym tańcem w deszczu z gryczanego ziarna, wreszcie spowici w białą flagę – ulegli i powolni. To obrazy, które widziałem i najlepiej zapamiętałem. Wciąż tkwią w mojej głowie. Do tego sugestywna muzyka i błyskające światło. Taki był mój spektakl „Dictat”. Może inni widzowie zobaczyli więcej, zrozumieli inaczej. Nic w tym dziwnego.

Teatr posługujący się symbolicznym obrazem, gestem, znaczącym rekwizytem zmierza ku emocjom i uogólnieniu. To przekaz, który może być odczytywany na poziomie doświadczeń ogólnoludzkich, odczuwania emocji, nastroju. To oczywiste. Z odpowiedzi artystów na „naiwne” pytania młodzieży wynikało, że w spektaklu „na wyjściu” znalazło się mnóstwo bardzo konkretnych treści, wątków, motywów, każda z ośmiu postaci miała swoją historię. Wszystko było precyzyjnie przemyślane i zaplanowane.

– Każda scena w tym spektaklu została przefiltrowana przez cztery umysły [reżyserów] – objaśniał metodę twórczą Flavio Cortellazzi. – Wymagało to bardzo długich dyskusji również z aktorami.

Ile z tych szczegółów pojawiło się „na wyjściu” w głowach odbiorców? Śmiem twierdzić, że zero. Taki teatr nie nadaje się do budowania przekazu na temat realiów historycznych, specyfiki dyktatury w tym czy innym kraju. Świetnie za to pozwala wyrazić to, co w bolesnym doświadczeniu dyktatury wspólne, niezależnie od tego, gdzie się wydarzyło.

Młodzi ludzie wiedzy o dyktaturze w Polsce, Włoszech, Hiszpanii i Rumunii muszą poszukać gdzie indziej. Na szczęście projektowi towarzyszyły inne imprezy, m.in.: warsztaty dziennikarsko-historyczne „Opowiem ci o wolnej Polsce”, spektakl „Piosenki PRL-u”, monodram „Zapiski oficera Armii Czerwonej”, pokaz filmu dokumentalnego „Internownani”. Gdy już się dowiedzą, dzięki spektaklowi „Dictat” będą mogli ten fragment historii Europy lepiej zrozumieć i przeżyć.

*



Alessandro Pezzali z Teatro Magro z Mantui

Organistów będzie wielu

Janusz Janyst

Od jednej szkole artystycznej powiada się, że jest kuźnią talentów. Na takie określenie zasługuje bez wątpienia utworzona w 1966 roku w Lutomiernku Salezjańska Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna II stopnia im. ks. Antoniego Chlondowskiego.

Placówka, której dyrektorem od samego początku jest ks. Zbigniew Malinowski, odznacza się tym, że w programie nauczania uwzględnia przedmioty związane z muzyką kościelną (obowiązkowe lekcje gry na organach). Na swoim koncie zapisała już liczne sukcesy w postaci nagród i wyróżnień zdobytych przez uczniów i absolwentów w ogólnopolskich konkursach organowych i kompozytorskich.

Adepci z Lutomiernka biorą udział w życiu kulturalnym miasta. Każdego roku w kościele klasztornym i szkolnej auli dają recitale organowe oraz fortepianowe. Można też posłuchać uczniowskiego chóru i orkiestry dętej. Zespoły i młodzi soliści koncertują ponadto w innych miejscowościach regionu.

Po maturze prawie wszyscy absolwenci podejmują studia w Akademiach Muzycznych. Większość zostaje organistami. Obecnie muzycy ze szkoły im. ks. Chlondowskiego grają m.in. w świątyniach Łodzi, Warszawy, Poznania, Bydgoszczy, Gdańska, Białegostoku, Katowic, Krakowa, w katedrach oliwskiej i pelplińskiej. Czterech dyplomantów otrzymało zatrudnienie w wyższych uczelniach muzycznych.

Od pewnego czasu lutomiernka szkoła dokumentuje swe osiągnięcia poprzez wydawanie płyt przede wszystkim z muzyką chóralną. Ukazało się już osiem krążków. Na

specjalną uwagę zasługuje najnowszy, zatytułowany *Oratio*, poświęcony utworom chóralnym skomponowanym przez absolwentów szkoły, dziś dyplomowanych twórców. Utwory wykonuje szkolny chór męski połączony z chórem żeńskim Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej II stopnia w Bydgoszczy. Dyryguje ks. dr Kazimierz Dąbrowski (aczkolwiek zespół bydgoski przygotowała do nagrania Aleksandra Grucza-Rogalska).

Zarejestrowana muzyka brzmi ciekawie. Zespala na ogół elementy tonalnej melodyki z dysonującą, modernistyczną harmoniką. Trzy utwory są autorstwa Tomasza Szczepanika, absolwenta Akademii Muzycznej w Łodzi, obecnie asystenta w tej uczelni. Dwa pochodzą z dorobku Michała Sławeckiego, który ukończył uczelnię warszawską i jest w niej adiunktem. Płytę zamyka dzieło Artura Żuchowskiego, dyplomanta uczelni łódzkiej i warszawskiej (także w zakresie dyrygentury).

W planach jest kolejna płyta. Prawdopodobnie zostanie nagrana już wyłącznie własnymi siłami, jako że od niedawna szkoła jest koedukacyjna, lutomiernki chór będzie zatem działał nie, jak dotychczas, jako męski, lecz mieszany. *



Chór salezjańskiej szkoły w Lutomiernku

Foto: Z ARCHIWUM SZKOŁY

Love me gender



Michał B. Jagiełło

Co pewien czas świat ogarnia jakaś panika, a wszystkie media zajmują się wyłącznie nowo narodzonym strachem. Kiedyś była to bomba neutronowa, potem choroba wściekłych krów i świń, ptasia grypa i parę innych. Oczywiście strach nie omijał też Polski. Ostatnio dziką panikę budzi filozofia gender. Nie bardzo wiedziałem, o co chodzi, dopóki nie sprawdziłem w Wikipedii, co zacz. Okazało się, że jest to filozofia, w której ludzie płci obojga niejako przymuszani są do przyjmowania społecznej i kulturowej roli płci przeciwnej. Otóż w jakichś przedszkolach przebiera się chłopców za dziewczynki i odwrotnie. Oczywiście zdaniem niektórych grozi to Sodomą i Gomorą, zatarciem różnic płciowych, a w konsekwencji żeniactwem kobiet z kobietami albo mężczyzn z mężczyznami, a to już koniec świata i kompletny gender.

Zadumałem się. Coś jest na rzeczy. Ale od dawna. Przyjrzałem się kobietom w tramwaju i na ulicy. Wszystkie chodzą w spodniach! Kiedy tylko kończy się lato, kobiety z ulgą uwalniają się od sukienek i spódnic, żeby wskoczyć w męskie gacie i kozaki – męskie buciory wojsk z czasów szwedzkich rajtarów i epoki Napoleona. Mężczyźni z kolei zamiast kalessonów noszą jakieś getry, obcisłe trykociki w różnych kolorach (sam na Gwiazdkę dostałem brązowe z guzikiem na przedzie). Kiedyś kalessony były naprawdę męskie: bufiaste, obwisłe i zawiązywane na tasiełki.

A lata 60., epoka długich włosów u chłopców, girlandy łańcuszków na szyjach, kolczyki w uszach, wdzianka z falbankami – pełne zniewieszczenie! Też nosiłem apaszkę (!) i czerwony pasek (!!)

do żółtej koszuli z tulipanem (!!!). Było się „dzieckiem-kwiatem”, było... Wszyscy faceci tak się nosili. I co – żaden na jakiegoś genderastę nie wyrósł.

Zjawisko jednak było i budziło zaniepokojenie. Przed genderyzacją ostrzegano, ale ostrzeżenia te ludzie lekceważyli. „Gdzie te chłopcy?” – pytała w piosence Danuta Rinn. „Gdybym był kobietą, to bym jednak uznał, że to chyba nie to...” – podsumowywał Tadeusz Chyła. Sygnały zostały zlekceważone. Nie dziwota, że chłopca coraz trudniej odróżnić od baby.

W demokracji zjawisko po prostu nasiliło się. W ramach genderu, zwanego wcześniej równouprawnieniem, a jeszcze wcześniej koedukacją, klasyczna różnica płci zaciera się coraz bardziej. Kobiety zajmują kierownicze stanowiska, mężczyźni głównie pitraszą w telewizji jakieś tartufele z parmezanem albo projektują suknie. Oddają się zajęciom babskim.

Wszystko przez brak poboru do wojska. Młodzi mężczyźni zostali pozbawieni twardej przygody i możliwości rozładowania nadmiaru adrenaliny w marszobiegach na 15 kilometrów, na zimowych poligonach, w kopaniu okopów. Przekształcili się w męską mierzwę, która szuka ujścia dla naturalnej w tym wieku agresji w kibolstwie i jałowym demonstrowaniu na ulicach. Nie dane jest im śpiewać „A un do wojska był przynależniony...” ani „Kiedy rezerwa szła do cywila, to wszystkie k...y płakały!”. Oto lek na genderowe strachy – powszechna służba wojskowa! Wtedy żaden Elvis nie będzie śpiewać „Love me gender”. Sorry: tender, bo to coś o kolejarzach było. *

Iluzja poetów!

Tomasz Cieślak

W województwie łódzkim jest ich zapewne ponad stu: „hobbiści”, „kronikarze”, „poeci aspirujący” i „poeci uznani”. Czy można znaleźć coś, co ten barwny poetycki światek łączy? Tak – od wielu lat nie snobują się na „łódzkość”.

Początek nowego roku jest niekiedy traktowany jako dogodny pretekst do podsumowań tego, co minęło, budowania prognoz, składania obietnic (sobie i innym). Nigdy nie wierzyłem w sens i cel takich działań, zwłaszcza jeśli miałyby dotyczyć literatury. Ona przecież żyje zawsze pojedynczo – przez dokonania poszczególnych twórców, nie toleruje na dłuższą metę żadnych działań zbiorowych, a jeśli takie następują, służą zdecydowanie bardziej jej propagowaniu (lub uśmiercaniu) wśród odbiorców, niż samej literaturze, bo ona dociera do nas zawsze jako konkretny tekst konkretnego artysty. Reszta to opakowania, przyległości, dodatki (czyli spotkania, festiwale, nagrody, dyskusje, prezentacje).

Ponieważ jednak zaczynam bodaj już czwarty rok współpracy z „Kalejdoskopem” i staram się przynajmniej od tamtego czasu dość starannie przyglądać naszemu lokalnemu poetyckiemu poletku (choć wiem, że ciągle ogromna pozostaje *terra incognita*), redakcja poprosiła mnie o kilka uwag syntetyzujących. Strasznie to trudne, bo nieprzekraczalna wydaje się bariera subiektywności ocen, ale i techniczne możliwości poznania są ciągle bardzo ograniczone (miniaturowe wydawnictwa, słaba dystrybucja). Mimo to próbuję.

Zacznę od statystyki i ogólnego oglądu. Po pierwsze: będę używał pojęcia „nasz region”, przez które rozumiem niekoniecznie Łódź, niekoniecznie województwo, lecz obszar, gdzie pewne literackie inicjatywy, idee, pomysły krzyżują się i zazębiają, poeci

spotykają, nawzajem czytają. Dla uproszczenia (?) więc: Łódź, Aleksandrów, Konstantynów, Pabianice, Łask, Zduńska Wola, Sieradz, Poddębice, Tomaszów, Piotrków, Kutno, Łowicz, Skierniewice. Coś pominąłem? Na pewno – bo nic o życiu literackim w innych ośrodkach nie wiem. Przykro mi.

W naszym regionie aktywnych jest zapewne ponad stu poetów, których na potrzeby tego szkicu podzielę na kilka kategorii (to beczelny pomysł, ale ośmiela mnie przykład świetnych poprzedników, przejrzałem też swego czasu w poszukiwaniu jakiejś powtarzalności postaw około 250 tomów autorów z naszego regionu). Po pierwsze, „hobbiści” – poeci sporadyczni, niedbający o mody, zazwyczaj przywiązani do tradycyjnych wzorów poezjowania; po drugie, „kronikarze”, czyli utrwalacze wrażeń, piszący w zasadzie tylko dla wtajemniczonych; w obu tych grupach sporo jest, powiedzmy to wprost, grafomanów (tego rzeczownika nie biorę w cudzysłów, bo: mnóstwo wierszy, wszystkie równie ważne i wszystkie niedopracowane, ale pracować nad nimi nie ma sensu, bo jak się komuś nie podobają, to znaczy, zdaniem owych grafomanów, że po prostu nie zostały odpowiednio docenione).

Po trzecie, „poeci aspirujący”, wśród których skłonny byłbym wskazać „poetów terminujących” lokalnie (jeszcze się skrywają po czasopiśmiech niszowych, jeszcze nie nabrali odwagi) oraz „poetów przymierzających się” do funkcjonowania w obiegu krajowym – to przypadek zwłaszcza koła młodych SPP kilka lat temu; większość szczęśliwie przeszła

POTENCJAŁ

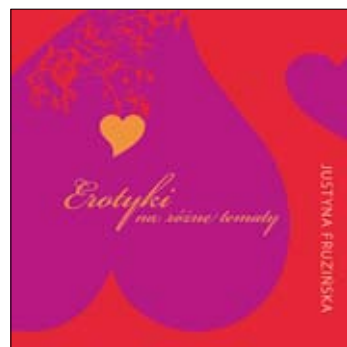
już ostatnio do następnej kategorii: „poetów uznanych”. Nazwiska? Nie tak szybko! Zbieram się dopiero na odwagę.

Wpierw warto zapytać, czy jest coś specyficznego dla poetów i poezji naszego regionu? Zdecydowanie nie. I w poetyce, i w tematyce brak miejsc wyraźnie wspólnych, naznaczonych jakoś wyjątkowo łódzkością. Tak jak gdzie indziej, trudno obecnie znaleźć grupy o charakterze programowym, nie ma też „łódzkiej szkoły poezji” (jak swego czasu mówiono choćby o „szkole śląskiej”), bo w naszym względnym bogactwie uderza różnorodność dość silnych, a na pewno odrębnych osobowości. Stowarzyszenia i grupy służą najwyżej jako forum dyskusji, koło towarzyskie, środek wsparcia w promocji, wypracowują też zazwyczaj jakiś wspólny mechanizm publikacji (wydawca, zdobywanie funduszy).

Mamy też zdecydowanie udany doroczny Festiwal Puls Literatury, co najmniej dwie w wymiarze krajowym ważne od dawna nagrody poetyckie: Baczyńskiego i Bierzyna (a od tego roku reaktywowaną po dziesięcioleciach Nagrodę Literacką im. Tuwima, która niezmiernie mnie cieszy, ale dla promocji łódzkiej poezji współczesnej nie będzie chyba miała większego znaczenia, zważywszy choćby na wyjątkowo „prozatorski” skład kapituły).

Nic zatem specyficznie lokalnego nie znajdziemy w łódzkim światku poetyckim? Ależ tak: niezmienny jest od wielu lat brak snobowania się na łódzkość (zapytaj studenta polonistyki o łódzką poetkę czy poetę – powie: Tuwim), brak lokalnego dopieszczania naszych literackich talentów, promowania ich, choćby nawet nieco ponad miarę, na wyrost, bo „nasi”. Kto był choć raz w Krakowie czy Poznaniu, będzie wiedział, o czym mówię, co się tam wyprawia. Dalej: sponsorzy? Wolne żarty. Stypendia twórcze? Owszem, choć to jakoś w Łodzi nieoczywiste.

No i na koniec nazwiska. Alfabetycznie. To wybór mój, subiektywny, motywowany gustem albo przynajmniej świadomością, że jeśli nawet nie dla prostej przyjemności lektury, to i tak warto znać, bo albo świetni i ważni, albo dobrze się zapowiadają, albo jednak czymś ciekawym intrygują: Kacper Bartczak, Bogusław Bujala, Konrad Ciok, Marek Czuku, Przemysław Dakowicz, Dorota Filipczak, Dariusz Foks (ze Skierniewic), Justyna Fruzińska, zmarły niestety w minionym roku Artur Fryz (z Kutna), Piotr Gajda (z Tomaszowa Mazowieckiego), Rafał Gawin, Piotr Grobliński, Krzysztof Grzelak, Jerzy Jarniewicz, Izabela Kawczyńska (spod Parzęczewa), Krzysztof Kleszcz (z Tomaszowa Mazowieckiego), Piotr Macierzyński, Robert Miniak, Monika Mosiewicz (z Pabianic), Michał Murowaniecki (z Wiśniowej Góry), Przemysław Owczarek, Kacper Płusa (z Pabianic), Joanna M. Przybylska, Maciej Robert, Robert Rutkowski, Grzegorz Strumyk, Joanna Ślósarska, Michał Wróblewski (z Pabianic). Na pewno nie wszyscy. Wymieniłem samych przyjaciół? Czyżby? Zapytajcie niektórych z nich... *



Na tropach kultury

Krystian Paweła

Badanie historii miasta, ludzi, zwyczajów i tradycji oraz tego, jaki wpływ miały one na obecną rzeczywistość – to cel projektu „Tropami naszej kultury”, który realizuje Muzeum Historii Miasta w Zduńskiej Woli. Skierowany jest do młodych ludzi i ma pobudzić ich zainteresowanie lokalnym środowiskiem oraz zainspirować do działań na rzecz swojego miasta i jego mieszkańców.

Autorką pomysłu i liderem przedsięwzięcia jest Gabriela Górską: – *Zastanawiałam się, jak można przekonać młodych, żeby polubili swoje miasto, żeby zaczęli się z nim utożsamiać, żeby nie wstydzieli się swojej miejscowości, odkryli jej charakterystyczne cechy. Chciałam, żebyśmy wszyscy zastanowili się, czy to, skąd pochodzimy, wpływa na to, kim jesteśmy. Stworzyłam harmonogram i plan działań. Po studiach z pedagogiki w zakresie profilaktyki i animacji społeczno-kulturalnej Uniwersytetu Łódzkiego byłam bez pracy. Zaproponowałam więc swój projekt Muzeum Historii Miasta. Od grudnia jestem tu zatrudniona na stanowisku edukatora.*

Uczestnicy działają w czterech grupach: fotograficznej, literackiej, dziennikarskiej i street art. Osią projektu stały się miejsca: spotkań i rozmów, ważne (symboliczne) dla mieszkańców, niebezpieczne, miejsca, gdzie ludzie sobie pomagają, gdzie robią coś razem, gdzie rozwijają swoje zainteresowania, miejsca, gdzie podejmowane są decyzje, gdzie tworzy się informacja. Efektem poszukiwań są zebrane przez grupę dziennikarską wspomnienia, anegdota, opinie o życiu i kulturze Zduńskiej Woli. Uczestnicy grupy fotograficznej tworzą zdjęcia, a literackiej – opowiadania, wiersze, legendy. Grupa street art

przygotowuje się do namalowania muralu z sentymentalno-kulturową historią miasta oraz cytatami mieszkańców o pozytywach mieszkania w Zduńskiej Woli.

Praca zaczęła się 9 października od warsztatów prowadzonych przez specjalistów. Najpierw grupa fotograficzna po odbyciu szkolenia technicznego wybierała stare fotografie Zduńskiej Woli, a potem wykonywała współczesne zdjęcia w tym samym kadrze. Innym razem grupa udała się do pobliskiej cukierni, która jest miejscem spotkań, aby poprzez fotografię uchwycić klimat Zduńskiej Woli.

Uczestniczki grupy literackiej zaczynały od nauki pisania, które odzwierciedla uczucia i porywa czytelników. Dowiedziały się, na co zwracać uwagę, pisząc legendy i baśnie. Głównym zadaniem było opisanie niecodziennej, intrygującej historii, jaka przydarzyła się im w wybranym miejscu, będącym osią projektu. Dziewczyny zastanawiały się, które – za sprawą ich twórczości – mogą nabrać magicznego charakteru. W jednym z opowiadań bohaterka przenosi się w czasie i przygląda życiu i obyczajom robotniczej rodziny. Inna historia przytrafia się bohaterce, która jest świadkiem scen likwidacji zduńskowskiego getta.

Grupa dziennikarska po wykonaniu kilku ćwiczeń wyszła w teren, aby przeprowadzić wywiady z mieszkańcami. Pytano m.in., za co mieszkańcy lubią Zduńską Wolę i czy mają w mieście swoje ulubione miejsca. Ostatnim zadaniem było opisanie w formie reportażu najdziwniejszej przygody, jaka przydarzyła im się w ich mieście. Niektóre teksty publikowane były w lokalnym tygodniku „Extra”.

Uczestnicy grupy street art, przygotowując projekt muralu, tworzyli wlepki, które przedstawiały ważne dla mieszkańców miejsca. Wykorzystując stare i nowe fotografie miasta, tworzyli komiks o Zduńskiej Woli.

Jako inspiracje dla wszystkich grup posłużyły spotkania z ludźmi kreującymi życie miasta dawniej i dziś oraz warsztaty historyczno-edukacyjne. O codzienności mieszkańców z dawnych lat opowiadali: Stanisław Matusiak – działacz społeczny, regionalista, miłośnik historii oraz Stanisław Klinger – malarz, muzyk, znawca astrologii i przyrody, a także były lekkoatleta. Ze wspomnień wyłonił się obraz Zduńskiej Woli jako miasta, którego życie towarzyskie tętniło na jarmarku, w przydrożnych knajpach, remizie Ochotniczej Straży Pożarnej, kinie, harcerstwie czy klubach sportowych. Goście opowiedzieli o mieście, w którym ścierały się trzy kultury: polska, niemiecka i żydowska. Ta żywa lekcja historii pokazała uczestnikom, jak bardzo dawna Zduńska Wola różni się od obecnej.

Młodzi ludzie uczestniczyli też w obchodach 80-lecia Parowozowni Karsznice oraz 20-lecia Skansenu Lokomotyw i Urzędzeń Technicznych w Karsznicach. Odwiedzili Fundację Księdza Orio-
ne Czyńmy Dobro, gdzie powstaje Centrum Wolontariatu. Przyjrzeni się pracy redakcji Naszego Radia. Wysłuchali wykładu o historii zduńskowolskich Żydów. Podczas wizyty w Domu Urodzin św. Maksymiliana Marii Kolbego poznali wygląd chaty robotniczej oraz historię życia i męczeńskiej śmierci świętego.

Po tych doświadczeniach uczestnicy projektu stworzyli ulotki, zawierające ciekawostki z przeszłości Zduńskiej Woli i pytania, zachęcające do zastanowienia się nad obecną sytuacją w mieście. Rozdawali je podczas spotkań ze zduńskowolanami. Jakie mieszkańcy mają pomysły? Oto niektóre pytania i odpowiedzi:



Powstają pierwsze projekty graficzne

Foto: GABRIELA GÓRSKA

Co przychodzi nam do głowy, gdy myślimy o kulturze miasta? Miejski Dom Kultury, Dom Maksymiliana Marii Kolbego, Muzeum Historii Miasta, jeżdżenie na rowerze, budki z hamburgerami, pub Variete.

Jak można wykorzystać sztukę filmową w mieście? Uczyć się historii z filmów, robić filmy dokumentalne o Zduńskiej Woli i puszczać je na ścianach bloków.

Jak można wykorzystać muzykę i teatr w mieście? Można zorganizować teatr uliczny, zrobić musical na przystanku autobusowym.

– Po kilku miesiącach trwania projektu 22-osobowa grupa gimnazjalistów i licealistów zintegrowała się – mówi Gabriela Górską. – Jesteśmy w trakcie planowania Wiosennej Gry Miejskiej dla wszystkich mieszkańców, która odbędzie się na przełomie marca i kwietnia. Przed nami kolejne warsztaty, spotkania z osobami, które kreują życie społeczno-kulturalne naszego miasta, zwykłymi mieszkańcami. Na czerwiec, a dokładnie na Dni Zduńskiej Woli, planujemy namalować mural i opublikować nasze fotoreportaże, które wystawimy na wolnym powietrzu, reportaże złożone z wypowiedzi mieszkańców chcemy puścić z głośników. Fragmenty prac literackich znajdują się w witrynach budynków, które stworzą trasę zwiedzania ważnych miejsc w Zduńskiej Woli. *

No i mamy manifest!

Tomasz Cieślak

Intrygują, porywają – i uwierają mnie jednocześnie wiersze Przemysława Dakowicza, łódzkiego poety i literaturoznawcy oraz krytyka, z najnowsze- go jego tomu *Teoria wiersza polskiego*. Urzeka ich poetycka siła i rozmach, odstręcza ich deklaratyw- ność – przynajmniej w pierwszej lekturze. Ponieważ o zbiorze tym powiedziano i napisano już sporo, zaś Maciej Robert przeprowadził z autorem ciekawą rozmowę (dostępną na stronie www.e-kalejdoskop.pl), niezręcznie byłoby mi konstruować ten szkic tak, jakbym dopiero prezentował czytelnikom kolej- ne wydawnicze *novum*. Przecież, kto ciekaw, już przeczytał, przemyślał, ocenił – bo rzecz spotkała się z żywym, jak na łódzkie realia bardzo nawet ży- wym, odzewem.

Proponuję zatem zastanowić się nad czymś innym, czymś leżącym głębiej, u samych podstaw tej interes- ującej artystycznej propozycji: nad Dakowicza wi- dzeniem samej funkcji poetyckiego słowa. Dwa lata temu, gdy opublikował *Place zabaw ostatecznych*, wiersze mówione ściszym głosem, wydawać się mogło, że najważniejsze dla niego jest snucie refleks- ji na gruncie osobistego, intymnego, najprostszego doświadczenia. Był w tym jakoś podobny do wielu innych młodych poetów (a zauważając to, nie ujmu- ję mu wcale oryginalności). To były liryki o spr- awach najbardziej uniwersalnych, pierwszych – pro- wadzące ku refleksji na temat sensu życia i jego celu – i tu podkreślę: jednostkowego celu. Dominowało w nich bowiem wyraziste „ja” – owszem, zanurzone

w historię, ale przefiltrowaną konsekwentnie przez indywidualne doświadczenie i w owej jednostkowej perspektywie ją ujmujące (czasem poprzez konkre- ne wspomnienie wydobyte z przeszłości). *Teoria wiersza polskiego* operuje zaś głównie nie „ja”, lecz „my”. To bardzo zresztą wyraziste i konsekwent- ne my-Polacy, z naszym bolesnym dziewiętnasto- i dwudziestowiecznym losem, z naszym doświad- czeniem klęsk i katastrof narodowych. Dakowicz okazuje się dzieckiem romantyzmu. Taką buduje „teorię wiersza”, taki program: jego nowa koncep- cja poezji wyrasta jednoznacznie z romantycznej historiozofii i z romantycznego rozumienia sensu zbiorowości – w kategoriach pewnego wyrazistego dziejowego posłannictwa. Podstawą tego myślenia jest wspólnota – z której nie można się „wypisać”, w którą jest się włączonym przez urodzenie, która określa życiowe zadania i postawy.

Nietrudno przecież dostrzec, czemu może służyć (i służy) taka współczesna próba rekonstrukcji ro- mantycznego wspólnotowego wzorca: celom doraź- nie politycznym. Jeśli zatem *Teorię wiersza...* czytać będzie ktoś, komu obce jest takie myślenie o lite- raturze, kogo mierzi nadużywanie wzniosłości do budowania czy odbudowywania frazesów, wreszcie – kto przywykł do pojedynczości głosu jako domi- nującego w najnowszej poezji – ten odrzuci wiersze Dakowicza jako nazbyt „rymkiewiczowskie” (w tej najnowszej Rymkiewicza odsłonie), plakato- we, wreszcie: polityczne.

Bo i są, owszem, niewątpliwie polityczne, a przy tym zbudowane na wyjątkowo bogatych odniesieniach do wszystkich romantycznych świętych: Mickiewicza, Słowackiego, Norwida i (nieświętego chyba?) Malczewskiego. Wcale nie ironizuję. Dakowicz jawi się jako kontynuator romantycznej i neoromantycznej tradycji rozumienia funkcji literatury, w niej chce widzieć, jak widział Mickiewicz, „arkę przymierza” i „skarbnicę narodowych pamiątek”, podwalinę i gwaranta kulturowej ciągłości narodu i jedno z narzędzi dla zrozumienia jego losu. Okropnie to archaiczne? Czyżby? A może zanadto pochopnie uznaliśmy, że „ahistoryczna holenderskość” nowej poezji, jak celnie nazwał Dakowicz we wspomnianej już wyżej rozmowie z Robertem jej uładzenie, mieszczańskość i grację (nawet tę buntowniczo outsiderską), jest jej cechą stałą, niezbywalną, oczywistą, co więcej – nawet pożądaną? Ale taka poezja to dziecko ledwie ostatnich dwudziestu kilku lat. Może nasz wybór jej „holenderskości”, uroczych scenek rodem z Vermeera bądź jej papierowych buntów – to także wybór polityczny?

Źle zrobi ten, kto pochopnie odrzuci *Teorię wiersza polskiego*, bo mu się będzie zbyt jednoznacznie kojarzyć z pewnym miejscem na mapie sił politycznych Polski. Zresztą Dakowicz wcale nie jest nie-

odrodnym synem romantyzmu, choć chyba chciałby. Najwyraźniej nie może nim być, nie potrafi. Najwyraźniej nie wierzy w możliwość prostego powrotu do minionych poetyk i formuł. Jest w jego najnowszych wierszach także Różewicz, jest Miłosz, jest – dla mnie ratująca ten tom – ironia. Dakowicza zdradza język. Mimo wszystko, jako dziecię naszego wieku, chyba nie wierzy w ocalającą moc poezji. Bada jednak, prowokując – co bada – czy się da jeszcze w nią na serio wierzyć.



Przemysław Dakowicz, *Teoria wiersza polskiego*, Biblioteka „Toposu”, t. 84, Sopot 2013.



Artur Urbański: „Łódź. Zdjęcia z początku wieku”. Pociąg do Łodzi, Łódź 2012.

Album zawiera fotografie wykonane na początku XXI wieku. Zdaniem autora, dokumentują one Łódź w momencie szczególnym: w czasie upadku miasta industrialnego i na chwilę przed narodzeniem się nowoczesnego miasta poprzemysłowego. I choć zdjęcia pokazują czasem rzeczywistość ponurą, wydawcy uważają, że – paradoksalnie – książka jest formą promocji miasta, bo „w fotografiach Artura Urbańskiego jest poezja, i to doskonała”. Album jest do kupienia w sklepie „Pociąg do Łodzi” na Księżym Młynie i w niektórych łódzkich księgarniach.

Nowa dzielnica Łodzi

Aleksandra Seliga

Dziś, żeby przyciągnąć klientelę do nowego klubu muzycznego na dłużej niż jeden zakrapiany alkoholem wieczór, trzeba wykazać się nie lada pomysłowością. Mamy wszakże w czym wybierać – Piotrkowska jest miejscem, w którym na jeden kilometr kwadratowy przypada najwięcej knajp w Polsce. A jednak to właśnie tam właściciele i pomysłodawcy 6. Dzielnicy zdecydowali się zaproponować łódzkim (i nie tylko) imprezowiczom coś nowego: połączenie klubu muzycznego, galerii sztuki i salonu literackiego.

Twórcy 6. Dzielnicy już od 2007 roku związani byli z Fundacją Industrial, powołaną do promowania Łodzi. Prezes zarządu fundacji, Błażej Lenkowski, tłumaczy: – *Nasz główny projekt to czasopismo*

„Liberté!”, którego redaktorem naczelnym jest Leszek Jażdżewski. Ponieważ jednak dotyczy ono spraw ogólnopolskich, doszliśmy do wniosku, że Łodzi potrzeba miejsca, gdzie zwrócilibyśmy uwagę na kwestie lokalne.

Zacząło się od debat poświęconych różnym tematom, na których goście komentowali otaczającą ich rzeczywistość polityczną, ale też rozmawiali o sztuce, współczesnej kulturze i muzyce. 6. Dzielnica istniała wtedy jedynie jako koncept, idea łącząca ludzi i inspirująca do organizowania dyskusji w kawiarniach, na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politologicznych UŁ, w Śródmiejskim Forum Kultury i rozmaitych „wypożyczonych” przestrzeniach. Wreszcie udało się zdobyć własną: pusty

lokal przy Piotrkowskiej 102 stał się miejscem kontynuacji, a następnie rozwoju pomysłów „ojców-założycieli”. Jeden z nich, wspomniany już Leszek Jażdżewski, mówi: – *Na oczach nas wszystkich zachodzi swoista transformacja Łodzi. Jej nowe centrum i to, co aktualnie dzieje się wokół niego, świadczą o tym, że miasto przyjęło dobry kierunek rozwoju, który niestety na kilka lat został wstrzymany. My chcemy wspomagać ten rozwój, uczestniczyć w nim, a nawet wyznaczać jego tor.*



Wnętrze 6. Dzielnicy

Stąd nazwa miejsca: administracyjnie w Łodzi znajduje się pięć dzielnic: Górna, Widzew, Bałuty, Śródmieście i Polesie. Ta jest natomiast „szósta” – miejsce, do którego można przyjść, by porozmawiać o rozwoju miasta czy o politycznej sytuacji świata, by obejrzeć wystawy prac malarzy, graficiarzy i twórców biżuterii, wreszcie, by napić się piwa i posłuchać darmowego koncertu.

Błażej Lenkowski wymienia: – *Na debatach zdarzyło nam się już gościć redaktora naczelnego „Gazety Wyborczej” Adama Michnika, Bogusława Chrabotę z „Rzeczpospolitej”, Marka Belkę, czyli prezesa Narodowego Banku Polskiego, etc. Jednocześnie wieczorami organizujemy imprezy z muzyką elektroniczną, jazzową, rockową i zapraszamy młodych artystów do pokazywania swoich prac. Ten eklektyzm wynika z naszych założeń – chcemy doprowadzić do zderzenia różnych środowisk, do dialogu między subkulturami, pokoleniami, ludźmi kultury i polityki.*

Jak na razie 6. Dzielnica wzorowo wywiązuje się ze swoich obietnic: w ciągu roku od otworzenia oficjalnej siedziby na Piotrkowskiej, twórcy klubu zdążyli już zorganizować w niej szereg imprez, o których w Łodzi mówiło się całkiem sporo. Jedną z nich było pamiętne III luksusowe Święto Myśli Cyfrowej, przy organizacji którego pomagał artysta Marcelo Zammenhoff. W ramach obchodów oglądać mogliśmy prace studentów Akademii Sztuk Pięknych, instalacje i pokazy slajdów oraz posłuchać granej na żywo muzyki, wykonywanej m.in. przez Pawła Sokołowskiego i Suavasa Lewego z grupy Dźwięk-bud. Dużym wydarzeniem były też zorganizowane

tu obchody rocznicy wyborów 4 czerwca 1989 roku, pod nazwą „Tydzień Wolności”. Odbyły się wtedy debaty, których gośćmi byli m.in.: Tomasz Jastrun, Jarosław Gugała czy Jacek Żakowski. Oprócz tego koncerty, pokazy filmów dokumentalnych i wernisaż wystawy prac grupy Urban Stylistix z Amsterdamu.

W 6. Dzielnicy grali muzycy zespołów Już nie Żyjesz, Judy’s Funeral, Drekoty, Revlovers oraz wielu innych kapel związanych nie tylko z łódzką sceną muzyczną. – *Nie bez radości zauważyliśmy, że czasem te same osoby przychodzą podyskutować z Markiem Janiakiem na temat gospodarki przestrzennej Łodzi i na wieczorną zabawę przy muzyce znanych didżejów – podsumowuje Jażdżewski. – To cel, do którego ostatecznie dążymy: dialog. Mógłbym zaryzykować stwierdzenie, że pod tym względem jesteśmy jedynym takim miejscem w Łodzi: staramy się doprowadzić do transformacji definicji współczesnej kultury i sztuki. U nas na wernisażach nie znajdziesz szklanych gablot i sterylnych pomieszczeń. Prace artystów są wszędzie wokół, możesz ich dotknąć, zachwycić się nimi – albo nie. Musimy dokonać dekonstrukcji współczesnego odbioru sztuki i zaprosić ją do naszego życia, zlikwidować ograniczający ją i widza dystans.*

Błażej Lenkowski zdradza plany na najbliższą przyszłość: – *Powtórzymy słynny „Tydzień Wolności”, ale tym razem na większą skalę. Będziemy się też dalej ubiegać o granty na ciekawe debaty i koncerty, ponieważ chcemy, żeby pozostały darmowe. Pewnego dnia może staniemy się nawet nowym, społecznym, otwartym domem kultury.* *



MAGAZYN KULTURALNY

w soboty 1, 15 lutego o godz. 20

ŁÓDZKIE WIADOMOŚCI DNIA

WYDANIE GŁÓWNE - godz. 18.30



Z M I E N I A M Y S I Ę D L A C I E B I E

Stół z okna

Katarzyna Tośta

Na dobre wybrzmiał tegoroczny Łódź Design Festival. Jednak o kilku projektach z konkursowej wystawy „make me!” nie mogę zapomnieć. Co tak naprawdę jest potrzebne do stworzenia lampki? Kabel i żarówka, ewentualnie niewielki stelaż. I właśnie tego użyła grupa Vel w swoim projekcie lampy o nazwie UL, który urzekł mnie prostotą: wykorzystaniem przewodu energetycznego jako abażuru. Kolejny eksponat to ekologiczny taboret „Re_ed” duetu AP DIZAJN – z trzciny, trocin i cementu, który jest całkowicie biodegradowalny. Ale na wspomnienie stołka Natalii Gil czuję ciarki na plecach. Za siedzisko posłużyły jej rączki starych, nikomu już niepotrzebnych lalek i to w dużej liczbie. Projektantka zaznacza, że dodatkową funkcją zydelka może być masaż. Ja jednak podziękuję i nie usiądę!

Ale dlaczego wracam do festiwalu? Bo intrygujący jest trend polegający na projektowaniu przedmiotów z tego, co już zbędne. To tzw. redesign.

Już dwie dekady temu designerzy gromadnie zaczęli uprawiać wzornictwo bazujące na zużytych rzeczach. Często powstawały bardzo dowcipne wypowiedzi artystyczne czerpiące garściami z idei dadaistycznych ready-made – dziś tworzone są przedmioty w pełni użyteczne. Ponadto współczesnemu projektowaniu towarzyszy refleksja ekologiczna, będąca odpowiedzią na nieumiarkowanie w zużywaniu energii czy konsumpcyjny styl życia, a twórczość przyjmuje formę recyklingu. Dokładniej upcyklingu – wtórnego przetwarzania odpadów z założeniem, że powstały produkt będzie miał wartość wyższą niż zużyty materiał.

W Polsce zachwyty nad eko-designem to stosunkowo nowa sprawa. Także w Łodzi. Mimo to bacny obserwator dostrzeże tu wiele przykładów ciekawego redesignu.



Stół w Owocach i Warzywach, projekt Kofi Kolektif

Foto: MICHAŁ SOBIELEWSKI

Cafe bar Spaleni Słońcem został np. wyposażony w stoliki, których bazą są warsztatowe podpory popularnie zwane „kobyłkami”. W klubokawiarni Owoce i Warzywa świetnie prezentuje się stół autorstwa Kofi Kolektif z okna w ramie PCV, umieszczonego na drewnianych nogach. Natomiast w meblotece Yellow warto podnieść głowę w toalecie, gdzie znajduje się kolorowy żyrandol z jednorazowych plastikowych butelek.

Twórczość bazująca na przetwarzaniu gotowych przedmiotów może budzić kontrowersje. Jednak nie można odmówić redesignowi walorów estetycznych oraz dowcipu i właśnie tymi atutami najłatwiej oddziaływać na młodych widzów, co zauważyło łódzkie Stowarzyszenie „Na co dzień i od święta”, we współpracy z Łódzkim Domem Kultury realizując jesienią 2013 r. projekt „Eko re-akcje”. Młodzi mieszkańcy regionu sporo się dowiedzieli o artystycznym przetwarzaniu niechcianych przedmiotów. Może niebawem wyniknie z tego coś ciekawego dla Łodzi...

*

Topory

przejmują kontrolę

Paweł Witczak

Rawskie Stowarzyszenie Miłośników Gier Fabularnych i Fantastyki „Topory“ działa od 20 lat, choć oficjalnie zarejestrowane zostało dopiero w 2008 roku. Historia stowarzyszenia to klasyczny przykład na to, jak młodzi ludzie z pasją i zapałem mogą zmieniać otaczający ich świat.

Wszystko zaczęło się w roku 1994, kiedy to grupa rawskich licealistów zainteresowała się grami fabularnymi, tematem wtedy jeszcze niszowym, ale zyskującym popularność. Gracze wcielają się w fikcyjne postacie, toczą rozgrywkę w wirtualnym świecie, w różnych realiach i konwencjach. Wszystko dzieje się według określonych reguł i zaplanowanego scenariusza. Grupa „Topory”, skupiająca fanów takiej rozrywki w Rawie Mazowieckiej, na początku minionej dekady rozrosła się do ponad 30 członków. Wtedy narodził się pomysł, który do dziś jest wizytówką stowarzyszenia – na organizację konwentu czy też festiwalu fantastyki o nazwie „Toporiada”. Pierwsza edycja odbyła się w 2005 roku, a każda kolejna gromadziła coraz większą liczbę uczestników.

– *To właśnie „Toporiada” była impulsem, który sprawił, że założyliśmy stowarzyszenie* – mówi Hubert Jankowski, prezes „Toporów”. – *Pierwsze trzy edycje organizowaliśmy jako osoby prywatne, a wiadomo, że wiąże się to z różnymi trudnościami – przy wynajmie obiektów na przykład. Jako stowarzyszenie mieliśmy osobowość prawną i zaczęliśmy sprawnie działać.*

„Toporiada” pod egidą sformalizowanej organizacji w 2008 roku okazała się wielkim sukcesem. Na terenie leśniczówki w Głuchowie nieopodal Rawy

Mazowieckiej zgromadziło się około 150 osób z całej Polski. Byli wyjątkowi goście, tacy jak dr Michał Mochocki, sekretarz Zarządu Polskiego Towarzystwa Badania Gier, czy Jacek Komuda, znany pisarz powieści historycznych. Niedługo później za sprawą krakowskiej firmy „Eskadra” zajmującej się opracowaniem strategii promocji dla miast i regionów, „Topory” zaangażowane zostały do współpracy w promowaniu Rawy Mazowieckiej. Przy pomocy władz miasta stowarzyszenie zaczęło organizować coraz to nowe przedsięwzięcia i kreować życie kulturalne regionu.

Sztandarowymi wydarzeniami organizowanymi dziś przez „Topory” są takie imprezy jak „Topografie”, „Gramy!!!” i „Rawskie Noce Filmowe”. Każda propozycja jest skierowana do innej grupy odbiorców. Pierwsza to impreza poświęcona dzieciom w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym. Stowarzyszenie zabiega o to, aby atrakcje w postaci najróżniejszych gier planszowych i konkursów były ważnym wydarzeniem nie tylko w życiu rawskich maluchów. „Gramy!!!” jest więc adresowane do starszej młodzieży. „Rawskie Noce Filmowe” to z kolei impreza, która okazała się największym sukcesem. Zeszłoroczna, trzecia już edycja zgromadziła ponad 800 osób na sześciu seansach, podczas których prezentowano filmy związane tematycznie z fantastyką.

Z wciąż rosnącą liczbą członków i poszerzającym się repertuarem przedsięwzięć stowarzyszenie „Topory” stało się poważnym graczem organizującym życie kulturalne mieszkańców Rawy Mazowieckiej.

Między Tuwimem a Brzechwą

Paweł Reising

Rymowane bajeczki zaczęła pisać już jako uczennica szkoły podstawowej. Jednak debiut Anny Edyk-Psut miał miejsce dopiero dwadzieścia kilka lat później, gdy latem 2004 roku otrzymała od wydawanego w Piotrkowie Trybunalskim czasopisma „KurieR – Kultura i Rzeczywistość” propozycję stałej współpracy. A już w listopadzie 2004 roku ukazała się jej debiutancka książka zatytułowana „Bajeczki do poduszeczki” (współautorką była Halina Maciejewska).

Anna Edyk-Psut pochodzi z Tomaszowa Mazowieckiego. W swoim dorobku ma głównie wiersze dla dzieci, lecz także teksty piosenek, wiersze liryczne i satyryczne. Z wykształcenia jest nauczycielką i bibliotekarką. Gdy uczyła dzieci w klasach I-III, często swoje utwory czytała na lekcjach. Reakcje uczniów mówiły jej, czy bajeczka się podoba i w których miejscach wywołuje śmiech lub zadumę. Często również była zapraszana na spotkania w przedszkolach i bibliotekach. Aby wprowadzić małych odbiorców w magiczny świat bajek, prezentowała spektakl z elementami edukacyjnymi.

Już od pierwszego opublikowanego w gazecie wiersza czytelnicy docenili oparte na melodyce, nastrojowości i pięknym słownictwie rymowane bajki Anny Edyk-Psut. W 2006 roku ukazała się druga książka zatytułowana „Bajkowe gwiazdki”. Znalazło się w niej piętnaście utworów. Większość opisuje charakterystyczne zachowania różnych zwierząt i umiejscawia je w zabawnych sytuacjach.

Rok 2006 był przełomowy w twórczości tomaszowianki. Wtedy jej utwory zaczęły ukazywać się w zbiorach bajek najwybitniejszych polskich twórców. Były to pozycje „Najpiękniejsze wiersze dla dzieci” oraz „Najweselsze wierszyki”. Choć znale-



Anna Edyk-Psut

zienie się w jednej książce obok Juliana Tuwima czy Jana Brzechwy było wielkim wyróżnieniem, to pisarka nie była zadowolona z wyboru jej utworów, jakiego dokonało wydawnictwo.

Jednak największy sukces przyszedł w 2007 roku. Wtedy wydana została jej książka zatytułowana „Dzień na łące”. Znalazło się w niej 25 pięknie zilustrowanych wierszy, które tak bardzo spodobały się aktorowi Piotrowi Adamczykowi, że zgodził się nagrać je na płytę. Płyta dołączona została do książki.

– *Nie rozumiem, dlaczego w tak dużym europejskim kraju jak Polska nie ma żadnego ogólnopolskiego czasopisma dla dzieci, które promowałoby nową literaturę, brakuje konkursu, który by inspirował oraz promował bajkopisarzy* – mówi Anna Edyk-Psut. – *Obowiązkiem telewizji publicznej powinno być promowanie literatury dla najmłodszych.*

Miłośników twórczości Anny Edyk-Psut nie brakuje także wśród dorosłych. Jedną z wiernych czytelniczek jej utworów była Irena Sendlerowa. Najwięcej bajek tomaszowianka pisze latem. Pomysły przychodzą jej do głowy, gdy odpoczywa w swoim ogrodzie lub na spacerach z psem. W 2011 roku ukazała się kolejna książka z bajkami, zatytułowana „Chmury-baranki i inne bajanki”. Pisarka podkreśla, że jej celem nigdy nie było robienie kariery literackiej. Twórczość dla dzieci traktuje jako sposób na rozwijanie własnej osobowości, a także przyjemną zabawę.

1, 8, 15 II, godz. 11-14, s. 308

Filatelistyczne spotkania wymienne

3 II, godz. 17, Sala Kolumnowa

VIVA VERDI!!! – w 200. rocznicę urodzin

– prezentacje wszystkich oper kompozytora:

„**Simon Boccanegra**” (Opera Królewska Covent Garden),
wstęp – 8 zł

10, 24 II, godz. 19, s. 103

Stowarzyszenie Akademia Mądrego Życia:

- **Siła drzemie w nas – jak budować poczucie własnej wartości**
– Daniel Zarzycki (10 II)
- **System wartości, czyli to co upragnione**
– Anna Krupińska (24 II)

14, 21, 28 II, godz. 17, s. 313

Klub Kosmobiologii:

- **Przebudzenie serca**
– prelekcja Grzegorza Kaźmierczaka (14 II)
- **Spotkania w IV wymiarze** – wykład Ilony Kubackiej (21 II)
- **Wieczór dyskusyjno-filmowy** (28 II, s. 221)

15 II, godz. 18, Sala Kolumnowa

Koncert walentynkowy.

Wystąpią: Orkiestra Symfoniczna Teatru Nowego im. K. Dejмка oraz Chór Mieszany Społecznej Akademii Nauk w Łodzi; dyrygent i kompozytor – Piotr Piątkowski

17 II, godz. 17, Sala Kolumnowa

Z cyklu oper Giacomo Meyerbeera

w 150. rocznicę śmierci kompozytora:

„**Krzyżowiec w Egipcie**” (Gran Teatro La Fenice w Wenecji),
wstęp – 8 zł

18 II, godz. 18, s. 221

Koło Przewodników Beskidzkich: **66. Wieczór Przewodnicki**

24 II, godz. 18, s. 221

Klub Podróżników:

Indonezja – niezwykłości kraju

– prelekcja Grażyny Kuran

25 II, godz. 18, s. 408

Towarzystwo Genealogiczne Centralnej Polski:

Edward Miziołek – prezentacja książki

„**Genealogia rodziny Miziołków**”

W KINIE:

SŁYNNY FILMY AUSTRALIJSKIE

Kino Kameralne, wtorki i czwartki, godz. 18.15:

PIKNIK POD WISZĄCĄ SKAŁĄ (1975) - 4 II;

ROZTAŃCZONY BUNTOWNIK (1992) - 6 II;

TIM (1979) - 11 II;

SYRENY (1993) - 13 II;

LANTANA (2001) - 18 II;

WESELE MURIEL (1994) - 20 II;

POLOWANIE NA KRÓLIKI (2002) - 25 II;

GALLIPOLI (1981) - 27 II.

Cena biletu - 8 zł

Inne propozycje:

WYSOCKI (*Rosja*) - 1-6 II;

W UKRYCIU (*Polska*) - 1-6 II;

HANNAH ARENDT (*Niemcy-Francja*) - 1-6 II;

MATTERHORN (*Holandia*) - 7-20 II

(pokazy premierowe);

CALL GIRL (*Szwecja*) - 7-13 II;

POD MOCNYM ANIOŁEM (*Polska*) - 7-20 II;

WILK Z WALL STREET (*USA*) - 7-13 II;

JEZUS CIĘ KOCHA (*Niemcy*) - 14-27 II

(pokazy premierowe);

DIANA (*Wlk. Brytania-Francja*) - 14-20 II;

MĘŻCZYZNA PRAWIE IDEALNY (*Norwegia*)

- 21 II-6 III (pokazy premierowe);

ZNIEWOLONY (*USA*) - 21-27 II;

NIMFOMANKA CZĘŚĆ 1 (*Dania*) - 21-27 II;

NIMFOMANKA CZĘŚĆ 2 (*Dania*) - 28 II-6 III.

Cena biletu - 14 zł



„Nimfomanka”

www.ldk.lodz.pl/kino



ŁÓDZKI
DOM
KULTURY

90-113 Łódź, ul. Traugutta 18
tel. 42 633 98 00, www.ldk.lodz.pl

KURSY: KURSY TAŃCA TOWARZYSKIEGO: KLUB OLD BOY, KLUB TAŃCA TOWARZYSKIEGO * KURS FOTOGRAFICZNY * DRAMA * JOGA * GIMNASTYKA ZDROWOTNA * FITNESS * GITARA OD A DO Z * KOLOROWA PRACOWNIA LUIZY * KURS RYSUNKU I MALARSTWA * ZAJĘCIA MALARSKIE (DLA DOROSŁYCH) * MALARSKIE ABC (DLA MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ) * KURS DLA WOKALISTÓW AMATORÓW * STUDIUM KULTURY WOKALNEJ * ZAJĘCIA WOKALNE

ZAJĘCIA STAŁE: KLUB PLASTYKA AMATORA



Foto: ZOFIA KOTKOWSKA

Klub Plastyka Amatora

Informacje: Ośrodek Inicjatyw Artystycznych ŁDK
ul. Traugutta 18, pok. 112, tel. 797 326 227, imprezy@ldk.lodz.pl,
www.ldk.lodz.pl

ŁÓDZKI DOM KULTURY

oferuje sale na konferencje, kursy, szkolenia, zjazdy

- * zmodernizowana Sala Kolumnowa na 180 osób
- * jedna sala na 250 osób
- * dwie sale do 120 osób
- * siedem mniejszych sal od 20 do 60 osób.

Wszystkie sale wyposażone w nowoczesny sprzęt multimedialny, większe są klimatyzowane i nagłośnione.

Naszym atutem jest lokalizacja w centrum miasta, sąsiedztwo czterech hoteli a także konkurencyjne ceny, usługi cateringowe i miła obsługa.

ZAPRASZAMY:

ul. Traugutta 18, 90-113 Łódź, tel.: 797 32 61 96, 797 32 61 95
e-mail: administracja@ldk.lodz.pl; www.ldk.lodz.pl

WYDAWCA: ŁÓDZKI DOM KULTURY

ADRES REDAKCJI:

ŁDK, 90-113 Łódź, ul. Traugutta 18
tel.: 797 32 62 17, 42 633 98 00 w. 272

e-mail: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

www.e-kalejdoskop.pl

REDAGUJE ZESPÓŁ:

Halina Bernat, Dariusz Drewnicz,
Piotr Grobliński, Bogdan Sobieszek,
Aleksandra Talaga-Nowacka

PROJEKT GRAFICZNY:

Paulina Narolewska-Taborowska

REDAKCJA TECHNICZNA:

Krzysztof Miniak

KOREKTA:

Elżbieta Januszko

D R U K:

Oficyna Wydawniczo-Reklamowa „Sagalara”
93-232 Łódź, ul. Lodowa 106a

tel. 42 676 26 76

INFORMACJE O IMPREZACH

prosimy przesyłać na adres: kalejdoskop@ldk.lodz.pl

PRENUMERATA „KALEJDOSKOPU”

RUCH – mieszkańcy Łodzi i województwa mogą zamówić prenumeratę, korzystając ze strony
www.prenumerata.ruch.com.pl

pytania: prenumerata@ruch.com.pl

lub tel. 22 693 70 00.

KOLPORTER – tylko instytucje mogą zamawiać prenumeratę w oddziałach firmy Kolporter S.A. na terenie całego kraju.

Informacje pod numerem infolinii 0-801-205-555 lub na stronie internetowej <http://sa.kolporter.com.pl/>

Zamówienia na prenumeratę:

II kwartał 2014 r. do 5 marca (7,50 zł)

II półrocze 2014 r. do 5 czerwca (12,50 zł)